TYDZIEŃ

Nr 12 (36) ROK II

23. III. 1947

CENA 12 ZŁ



Dziś w numerze: Brat za równikiem

(Korespondencja własna z Kurytyby)

tak i nie

Bomba dolarowa



Bomba atomowa przestała już skutkować jako instrument polityki międzynarodowej. Prezydent Truman użył więc bomby starego systemu: bomby dolarowej. Zapowiedź udzielenia wielkiej pożyczki rządom Grecji i Turcji ma aspekt wielostronny. Mylą się ci, którzy sądzą, że akcja ta skierowana jest wyłącznie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Niemniej silnie godzi ona w Wielką Brytanię. Oznacza bowiem, iż Anglia musi likwidować swe sprawy w rejonie Morza Śródziemnego. Sama wycofuje się przecież także pod naporem okoliczności z Palestyny i jest wypierana z Egiptu.

Mówi się, iż U. S. A. przejmują spadek po imperializmie brytyjskim. Rzecz w tym, czy w obecnym okresie można jeszcze stosować brutalne metody kolonizatorów sprzed stu lat.

Z licznych głosów prasy na temat wystąpienia Trumana najbliższy prawdy wydaje się sąd liberalnego angielskiego dziennika „Manchester Guardian", który napisał: „Mowa Trumana stanowi w istocie połowę amerykańskiej polityki. Drugą połowę przypuszczalnie reprezentuje Marshall w Moskwie. Dlatego też rozsądne będzie odroczenie ostatecznego sądu do chwili, gdy będziemy wiedzieli wszystko".

Gdy Marshall był generałem...

Na jednym z pierwszych posiedzeń moskiewskiej Rady Ministrów Spraw Zagranicznych wypłynęła sprawa Chin. Warto przypomnieć, że amerykański sekretarz stanu Marshall był przez cały rok specjalnym wysłannikiem swego rządu w Chinach. Opuszczając placówkę na Dalekim Wschodzie Marshall złożył sensacyjne oświadczenie w sprawie niemożliwości, powołania do życia koalicyjnego rządu chińskiego. Właśnie utworzenie takiego rządu miał na myśli protokół moskiewski, na który obecnie powołuje się minister Mołotow.

Problem Chin z ich niezałatwionym zatargiem między lewicową północą a rządem nankińskim służył publicystom pewnego ściśle określonego gatunku do podkreślania rzekomej dobrej woli nacjonalistów. Marshall był odmiennego zdania. W swej deklaracji powiedział m. in.: Po stronie rządu narodowego, który w istocie rzeczy jest emanacją partii Kuomintangu, działa przemożny odłam reakcjonistów, którzy przeciwstawiali się każdemu mojemu wysiłkowi, aby wpłynąć na utworzenie rządu koalicyjnego".

Jedna z konkluzji raportu obecnego ministra spraw zagranicznych USA zamyka się w zdaniu: „Jeżeli zakończenie okresu jedynowładztwa Kuomintangu ma się stać rzeczywistością, należy pozbawić Kuomintang poparcia finansowego".

Marshall był wówczas tylko generałem. Zobaczymy czy wraz ze stanowiskiem nie zmienił również zdania.

Niemcy przede wszystkim

Memoriał Południowej Afryki na konferencję w Moskwie tym jest ciekawy, że Afryka Południowa jest bodaj jedynym państwem, które żąda dla Niemiec granic z 1939 r. Przy tym wszystkim rząd południowo - afrykański zapewnia o swych sympatiach dla Polski wyrażając jednocześnie zbyteczną troskę, że ustalenie granic zachodnich Polski na Odrze i Nysie przedstawia dla niej duże niebezpieczeństwo w przyszłości.

Wreszcie memoriał Południowej Afryki domaga się odbudowy Niemiec z trzech powodów: dla dobra Niemiec, pokoju i Europy.

Warto zwrócić uwagę na hierarchię przyczyn. Dobro Niemiec znajduje się na pierwszym miejscu.

Separatyzm

Południowa Afryka stanowi jedno z dominiów, wchodzących w skład Imperium Brytyjskiego. Obok skrawka dawnej posiadłości brytyjskiej na Przylądku Dobrej Nadziei, Południowa Afryka składa się z dawnych krajów boerskich, Transvaalu i Oranii, zarządzające również dawnymi koloniami niemieckimi w południowo - zachodniej Afryce.

Od pewnego czasu Południowa Afryka zdradza pewne tendencje separatystyczne, oparte na dawnych związkach uczuciowych z Holandią. Tendencje te przybrały ostatnio tak dalece na sile, że mimo ogromnych kosztów, angielska rodzina królewska uznała za konieczne podjęcie oficjalnej podróży do Afryki Południowej.

Porwanie Europy

Winston Churchill podniósł sztandar „Paneuropy" przed rokiem. Koncepcja ta spotkała się z bardzo nieprzychylnym przyjęciem zarówno w kołach postępowych Anglików jak i u zainteresowanych narodów europejskich. Jeden naród tylko ustosunkował się pozytywnie do utopii churchillowskiej — Niemcy.

Zachodnie Niemcy pokryły się siecią organizacji noszących m. in. następujące szumne nazwy: Europa Union (Unia Europejska); Niemiecka Liga dla federalistycznej Unii Europejskiej; Unia Federalistyczna; Unia Paneuropejska; Wspólnota Europejska. Są to najzupełniej legalne stowarzyszenia działające na podstawie pozwolenia brytyjskich władz okupacyjnych. Wśród ich założycieli i wybitnych członków znajdują się osoby blisko związane z kierownikami niemieckiej administracji na terenie strefy angielskiej, a Herr Adenauer, prezes CDU, znany ze swych wystąpień antypolskich, nie skąpił swego poparcia dla idei szerzonych przez te organizacje.

Niemieccy zwolennicy zjednoczonej Europy są niczym innym jak wznowieniem głosicieli hitlerowskiego „Nowego Ładu". Powołują się słusznie czy niesłusznie na rzekomo pokrewne organizacje w Anglii, Holandii i Szwajcarii (wymieniając organizacje o charakterze czysto filantropijnym, choć proniemieckim) i dążą do „zapewnienia równych praw i obowiązków dla wszystkich narodów europejskich, zarówno zwycięskich jak i pokonanych", „do wzajemnej penetracji interesów przemysłowych, przy czym nie należy stawiać przeszkód udziałowi Niemców w życiu gospodarczym innych narodów".

Po pierwszej wojnie światowej mówiono, że „cesarz odszedł, ale generałowie zostali". Obecnie można twierdzić, że „Hitler odszedł ale przemysłowcy zostali".

NASZA OKŁADKA



Rys. Edmund Bartłomiejczyk.

KLOCKI

to popularny obyczaj wielkopostny, dziś już idący w zapomnienie, ale jeszcze żywy w epoce naszych dziadków.

W ojczyźnie dolara

Ojczyzna dolara nie jest rajem dla robotników. Wiadomości o rosnących tendencjach antyrobotniczych mnożą się. Celują oczywiście przedstawiciele wielkiego kapitału i ich reprezentacji politycznej — partii republikańskiej. Zniesienie kontroli cen wywołało wielką zwyżkę kosztów utrzymania, ale płace robotnicze pozostały niezmienione. Aby przeciwdziałać rosnącemu niezadowoleniu w szeregach zorganizowanych robotników i żądaniu podwyższenia zarobków, Zakłady Forda użyły niepraktykowanego dotychczas środka: zapowiedziały obniżkę ceny swych samochodów, tak by każdy robotnik mógł stać się właścicielem własnego „Forda". Zapowiedź nie wyszła poza granice teorii, ale gdyby nawet została zrealizowana nie rozwiąże na pewno problemu rosnących cen żywności i komornego.

Szczytem amerykanizmu jest jednak uchwała Kongresu, asygnująca 50.000 dolarów na koszty ankiety, która ma zbadać czy w Filadelfii „kupcy i przemysłowcy znajdują się istotnie pod dyktaturą związków zawodowych".

Gdyby to nie było takie smutne, to można by się nawet pośmiać!

Spór o „Rzeczywistość"

W związku z pierwszym felietonem Jerzego Wyszomirskiego o książce Putramenta od p. G. z „Robotnika" otrzymujemy list następujący:

„Szanowny Panie Redaktorze,

z zainteresowaniem przeczytałem w ostatnim numerze „Tygodnia" felieton p. Jerzego Wyszomirskiego o „Rzeczywistości" Putramenta. Nie rozumiem tylko, dlaczego p. Wyszomirski czyni odpowiedzialnym p. G. z „Robotnika" za błędy Ryszarda Matuszewskiego.

„Pan G." nie jest odpowiedzialny ani za Ryszarda Matuszewskiego, ani za Jerzego Wyszomirskiego, który z kolei pomylił Michała Szczytta z bohaterem książki Putramenta Szulcem (w rzeczywistości bez cudzysłowu — Schus, współoskarżony w sprawie Dembińskiego).

Z poważaniem
G."

Ostrze na ostrze

Za Warszawą — pisma ławą..

Jak na razie — wbrew wszelkim pogróżkom meteorologów, powierników tajemnic przyrody — Wisła w Warszawie nie tylko że nie wylała, ale wręcz i na złość amatorom niezdrowych sensacji — stoi, niechętnie i z ociąganiem się odmarzając przy brzegach. Natomiast takie ubogie krewne, jak chociażby rzeka Łódka w Łodzi, o której mało co wie rodowity Łodzianin i która, prócz gorzkich kpin, nie doznała niczego w swym życiu — zbuntowała się przeciwko tej odwiecznej krzywdzie i gniewnie wystąpiła z brzegów! Takie to czasy, proszę was, nowe czasy...

A jednak w Warszawie zapowiada się powódź. Taka, której nie przewidzieli zaklinacze wiatrów i słońca.

W ślad za wielką mnogością rożnych urzędów i instytucji, których skrócone nazwy, złożone z przedziwnych kombinacji wszystkich liter alfabetu, brzmią niczym magiczne formułki: ZUS, PUS, GUS, ZUL, GUL, PUL (zmieniać można dowolnie, zawsze coś z tego wyjdzie) — zaczynają pomykać w stronę Warszawy po kolei różne ważniejsze pisma, uświetniające dotychczas rozmaite miasta Polski. Nie odstrasza ich walka, jaką wydał swego czasu Zarząd Miejski miasta stołecznego Warszawy pierwszej fali repatriowanych urzędów, przy pomocy specjalnego Urzędu Do Walki Z Nadmierną Ilością Urzędów W Stolicy (w skrócie UDWZNIUWS). Ponieważ ta walka zakończyła się wynikiem 1:1000 na niekorzyść Zarządu Miejskiego, pisma, zachęcone tą perspektywą, uknuły między sobą cichy spisek i jedno po drugim przenosi się do Warszawy. Istna powódź!

I tak — w ciągu ostatniego czasu „Dziennik Gospodarczy" z Bytomia wylądował w Warszawie. Na skutek braku lokali (nie miał widocznie nikogo znajomego w „kwaterunku", albo nie chciał się przedwcześnie ujawnić) — zamieszkał wspólnie z „Rzeczpospolitą". Wynikł z tego związek małżeński poważnego pana i statecznej niewiasty, a w rezultacie potomstwo w postaci grzecznego i rozsądnego pisma politycznego - gospodarczego, pierwszego w tym rodzaju w Polsce po wojnie.

Ani się obejrzał Kraków, jak uciekło mu „Odrodzenie", szukając swego odrodzenia w Warszawie. W dodatku warszawska atmosfera lepiej sprzyja tego typu procesom, niż pokryta patyną wieków tradycja wawelskiego grodu.

Bywa czasami, że przypadkowo spotykający się na ulicy dwaj osobnicy stają zdumieni jeden na przeciwko drugiego: „przecież on jest podobny do mnie, jak dwie krople wody". I znajomi czasem mylą się, kłaniając się jakiemuś sobowtórowi swojego przyjaciela i oburzając, gdy tamten robi zdziwioną minę. Tak właśnie trochę wygląda spotkanie w Warszawie „Odrodzenia" i „Nowin Literackich", które ujawniają się po okresie dłuższych namysłów, domysłów i zapowiadanych niespodzianek.

— Czyżby to było wszystko? — woła przerażony Zarząd Miejski.

Skądże!!! Trudno jest powstrzymać potok, gdy zerwana została pierwsza tama.

— Im wolno, a nam nie?! — „Kuźnica" postanowiła kuć żelazo, póki gorące i niektórzy powiadają, że nosi się również z zamiarem opuszczenia Łodzi i przybycia do Warszawy.

— A my jesteśmy takie małe, z pewnością też się zmieścimy w Warszawie! — wołają „Szpilki", które po wyczerpującym obgadaniu wszystkich łódzkich eminencji, aktorów i własnych współpracowników, tak się same sobie i czytelnikom znudziły, że zabrały się do biografii nowych osób w rządzie. W tym celu postanowiły zbadać rzecz na miejscu i przy okazji wyostrzyć trochę stępione ostrze na chropawym warszawskim bruku.

Ktoś puścił również plotkę, że nawet sam „Przekrój" pragnie zaszczycić swoją obecnością stolicę!

W ten sposób ugospodarczeni, co „Tydzień" odrodzeni, unowinnieni, przekuci, naszpilkowani i przekrojeni — czy damy sobie radę, Warszawiacy, z tą powodzią słowa drukowanego? A co to będzie, jeżeli tak dalej pójdzie? Przykład jest zaraźliwy — a nuż „Głos Białegostoku", „Echo Rzeszowa", „Kurier Radomia", „Express Kaczego Dołka" i inne, w bezwstydnym nadmiarze ukazujące się w Polsce pisma, zapragną warszawskiego powietrza?

Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy!

P. S. Dostrzegasz źdźbło w oku bliźniego, a belki we własnym nie widzisz! Przecież nasz „Tydzień" też niedawno przeniósł się z Łodzi do Warszawy...

Ale to było przed 5 lutego. To znaczy w terminie objętym amnestią.

AVIS

tak i nie
STRONA 4

JADWIGA ŻYLIŃSKA

INDIE

NA DRODZE DO NIEPODLEGŁOŚCI



Gmach biblioteki w Delhi — siedziba Kongresu induskiego.

SYSTEM kolonialny miał być — według oficjalnych wypowiedzi polityków angielskich — etapem przejściowym w formacji brytyjskiej wspólnoty narodów. Termin awansu z kolonii na dominium był uzależniony od dojrzałości politycznej i społecznej danego kraju. Kolonie były jednak terenem nieograniczonej eksploatacji dla kapitału angielskiego, toteż w interesie jego leżało, ażeby rozwój polityczny posiadłości brytyjskich opóźnić raczej niż przyspieszyć.

Lecz ten stan rzeczy, korzystny z punktu widzenia gospodarczego, niósł z sobą pewne niebezpieczeństwo. Anglicy mieli do wyboru dwie rzeczy: korzyści materialne lub polityczne. Wybrali pierwsze. I teraz okazało się, że czas, który mogli zużyć na konsolidację swojego Imperium, pracował przeciwko nim. Gdyby w ich postępowaniu przeważyła koncepcja ideologiczna — jak najszybszej realizacji brytyjskiej wspólnoty narodów, związanych równymi prawami i obowiązkami — prawdopodobnie udałoby im się tego dokonać. Jednak przez podporządkowanie idei politycznej interesom gospodarczym poszli w kierunku zupełnie odmiennym. Panowanie swoje w posiadłościach zamorskich, a szczególnie w Indiach, oparli na niesnaskach wewnętrznych, co przyniosło im duże korzyści materialne („na jednego Anglika pracowało dziesięciu kolorowych"), ale w rezultacie stracili ten kraj dla brytyjskiego Commonwealth.

OBECNIE nurtują Indie trzy prądy polityczne: Partia Kongresu wyrażająca narodowe dążności Hindusów, zmierzająca do zjednoczenia Indii; Liga Muzułmańska, która żąda oderwania Pakistanu od Indii, celem utworzenia muzułmańskiego państwa; i różne mniejszości, do których należą Hindusi - chrześcijanie i kasty upośledzone („Scheduled Castes").

W ciągu ostatniego półwieku sympatie postępowych Anglików były po stronie Kongresu, w skład którego wchodziły zarówno elementy prawicowe jak i socjalistyczne. Muzułmanie tworzyli raczej bierną masę, bez większego znaczenia politycznego. Obecnie, pod wpływem nacjonalistycznych dążeń Islamu, Liga, chociaż dużo słabsza od Kongresu, stała się czynnikiem współrzędnym i nie chce dopuścić do powstania Zjednoczonych Indii. Liga Muzułmańska, podobnie jak inne mniejszości w Indiach, znajduje w Anglii poparcie czynników konserwatywnych, które nie chcą rozumieć, że procesy dojrzewania zarówno organizmów indywidualnych jak i zbiorowych, są nieodwracalne.

Indie jednak mają już dość panowania angielskiego i oświadczyły, że „jeżeli Indie chcą pójść swoją drogą samodzielnie — co przecież nie jest sprzeczne z oficjalnymi założeniami polityki brytyjskiej — niech Anglicy przestaną troszczyć się o to, czy Hindusi sprowadzą na siebie, katastrofę, śmierć i nędzę". (Spectator, 3.I.47).

Tak więc rządowi angielskiemu nie pozostało nic innego jak oznaczyć termin wycofania swoich władz i wojsk z Indii. „Jest rzeczą bardzo łatwą — powiedział lord Vansittart podczas debaty w Izbie Lordów — krytykować rząd i jego poczynania. Być może, że decyzja przekazania władzy w czerwcu 1948 roku jest ryzykowna, ale w obecnej sytuacji nie ma takiej możliwości, która by ryzyka była pozbawiona".



Ludzie Kongresu: przybycie premiera Indii Pandita Jewaharlal Nehru.

Przywódca hinduskich muzułmanów mr Jinnah ma w Anglii za sobą małą klikę, myślącą kategoriami Kiplinga, ale nie może liczyć na militarne poparcie Wielkiej Brytanii. Zresztą ten zwrot Ligi Muzułmańskiej w stronę Anglii jest zjawiskiem czysto koniunkturalnym: w tym samym czasie, kiedy Mr. Jinnah szuka sojuszników w Londynie, muzułmanie egipscy dążą do wyeliminowania wpływów brytyjskich w swoim kraju.

ILEKROĆ razy sprawy Indii wchodzą na porządek dzienny obrad, Izba Lordów, w której zasiada wielu ekspertów od spraw kolonialnych, dysponuje doskonale umotywowanymi argumentami. Tylko że te argumenty, słuszne w przeszłości, są pozbawione praktycznego znaczenia w chwili obecnej. Opozycja zarzuca rządowi, że ignoruje interesy mniejszości i że przez oznaczenie zbyt wczesnego terminu przekazania władzy w Indiach rządowi narodowemu, nie spełni swoich moralnych zobowiązań.

Liga Muzułmańska, ów „Frankenstein stworzony przez politykę brytyjską", wyszła z roli manekina i zaczęła żyć swoim własnym życiem. I teraz kiedy Anglicy istotnie są gotowi przekazać swoją władzę w ręce narodu hinduskiego, naród ten nie jest zjednoczony. A po raz pierwszy w historii w interesie Wielkiej Brytanii leży zaprowadzenie zgody i jedności w Indiach, gdyż wojna domowa może grozić interwencją sił obcych.

STOPIĘĆDZIESIĄT lat panowania brytyjskiego w Indiach dobiega końca.

Zjednoczone Indie mogą z czasem stać się partnerem Wielkiej Brytanii i to leży obecnie na dalszym planie jej polityki. „W każdym obozie politycznym w Indiach ludzie zdają sobie sprawę, że najważniejszym problemem Indii jest zwiększenie ich dochodów. Z chwilą gdy ustaną podejrzenia, że Wielka Brytania pragnie utrzymać dawny régime, Indie chętnie przystaną na pomoc i wpływy Wielkiej Brytanii, na które nie chciały się zgodzić dopóki pozostawały pod jej kontrolą". (Z przemowy lorda Vansittarta, „Times", 27 lutego br.).

Podczas wywiadu udzielonego w Delhi, Pandit Jewaharlal Nehru oświadczył, że Indie pragną utrzymać gospodarcze i kulturalne więzy z Wielką Brytanią, ale że ciągłość tych stosunków jest możliwa tylko wówczas, gdy w Indiach nie dojdzie do jakiegoś gwałtownego przewrotu.

Anglia musi więc dążyć do przekazania aparatu rządowego w ręce Hindusów dopóki jej autorytet w Indiach nie ustał. W „Sunday Times" z 2 bm. czytamy znamienne wypowiedzi w tej kwestii: „Teraz Hindusi wiedzą, że ostatecznym ich oparciem nie będzie rząd Wielkiej Brytanii, tylko ich właśni przywódcy, którzy przez wiele lat z tym rządem walczyli. Ten okres przejścia władzy z jednych rąk do drugich jest dla Hindusów z wielu względów demoralizujący i im dłużej będzie trwał, tym gorzej dla nich. W końcu też przez nadmierne odraczanie terminu cała machina administracyjna może być narażona. Musimy dążyć do tego, ażeby zdać tę machinę w zupełnym porządku. Dlatego też oznaczenie daty przekazania władzy przez rząd brytyjski musi być oceniane nie tylko na płaszczyźnie polityki, ale i administracji. Od funkcjonowania tego aparatu zależy bowiem zarówno pokój jak i sprawiedliwość".

Niewątpliwie w związku z oceną nowej sytuacji w Indiach nastąpiła zmiana na stanowisku wicekróla. Miejsce konserwatywnego lorda Wawella zajął admirał lord Mountbatten, który jeszcze podczas wojny wykazywał duże zrozumienie dla koniecznych reform.

NIEZALEŻNOŚĆ Indii stwarza nowy układ sił w świecie, szczególnie ważny dla krajów położonych nad Oceanem Indyjskim i Pacyfikiem. Dr Evatt, australijski minister spraw zagranicznych, oświadczył, że Australia będzie dążyła do ściślejszej współpracy z Wielką Brytanią w celu ochrony Imperium na Oceanie Indyjskim i Dalekim Wschodzie oraz do porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi dla obrony południowo - zachodniego Pacyfiku. Poza tym Australia pragnie utrzymywać przyjazne stosunki z sąsiednimi państwami azjatyckimi, a między nimi również z Indiami.

Jakkolwiek ostateczna niezależność Indii ma nastąpić dopiero w czerwcu 1948 roku, pierwszy ambasador hinduski Mr Azaf Ali został już akredytowany przy rządzie Stanów Zjednoczonych. Prezydent Truman wyraził się przy tej okazji, że jest to moment historyczny, w którym Indie rozpoczynają samodzielnie występować na terenie międzynarodowym.

Jak schwytano Hoessa?



(rys. J. Żebrowski)

BYŁY zastępca Hoessa w obozie oświęcimskim, Wisliceny, który miał na sumieniu między innymi wymordowanie Żydów słowackich, badany przez sędziego śledczego w Bratislawie, oburzył się:

— Jakto, czepiacie się mnie, a Hoess przebywa na wolności, chociaż każdy człowiek może go z łatwością rozpoznać?

Wisliceny opowiedział następującą historię: W roku 1941 Hoess poszczuł jakiegoś nieszczęsnego więźnia psem. Widocznie pies był niezbyt dobrze wytresowany, czy też nie przebywał jeszcze dość dawno w hitlerowskiej szkole, dosyć, że zamiast więźnia ugryzł Hoessa. Ugryzienie było potężne i Hoessowi pozostała blizna nieco powyżej kostki lewej nogi. Blizna ta miała zupełnie niecodzienną właściwość przybierania barwy sino-niebieskiej, ilekroć komendant oświęcimia zanurzał nogę w gorącej wodzie.

Ta informacja posłużyła do przeprowadzenia olbrzymiej akcji, w wyniku której osiem milionów Niemców musiało zanurzyć lewą nogę w gorącej wodzie. Wreszcie Hoess ukrywający się pod przybranym nazwiskiem w roli ogrodnika został rozpoznany.

Sprawa Pohla

W chwili gdy Hoess stanął przed Najwyższym Trybunałem Narodowym, w Norymberdze rozpoczął się proces innego zbrodniarza SS-Obergruppenführera Pohla. Nie wiele się u nas słyszało o tej osobistości, chociaż jego rola była niemniej złowróżbna niż Kaltenbrunnera czy Hoessa. Pohlowi podlegał wydział VI RSHA (Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy) i Gestapo. Wydział ten zajmował się administracją obozów koncentracyjnych, przydzielał żywność i sprzęty potrzebne dla urządzenia i utrzymania całego zbrodniczego aparatu eksterminacyjnego. W odróżnieniu od swego kolegi Müllera, który po prostu kazał ludzi mordować, Pohl pilnował, aby dzięki odpowiednim środkom administracyjnym życie więźniów nie trwało zbyt długo i aby umierali z wycieńczenia i przepracowania.

Zabawa z „filmem"

Od kilku tygodni trwa ciekawa korespondencja między redakcją „Tygodnia" a Dyrekcją „Filmu Polskiego"

Po przeniesieniu naszego pisma do Warszawy zwróciliśmy się na piśmie do Zarządu tej instytucji o przydzielenie nam biletu stałego wstępu do kin warszawskich. List nasz pozostał bez

tak i nie

odpowiedzi. W tym stanie rzeczy zwróciliśmy propagandzie „Filmu Polskiego" nadesłany materiał reklamowy z uwagą, że chętnie będziemy go zamieszczać, ale tylko wówczas, gdy sami będziemy mieli możność patrzenia na ekrany. W odpowiedzi na to otrzymaliśmy list niezwykle grzeczny, w którym „Film Polski" zawiadamia nas, że nic nie wiedział o tym, iż „Tydzień" wychodzi już w Warszawie, i że nie omieszka przesyłać nam zaproszeń na premiery. Poczym odbyły się dwa pokazy filmowe, na które zaproszenia nie dostaliśmy.

Jeśli podnosimy tę sprawę publicznie, to nie ze względów ambicjonalnych. Wydaje nam się, że „Film Polski" ma już dosyć doświadczeń, do czego prowadzi jego separowanie się od środowisk mających znaczenie kulturalne i artystyczne. Jego zabieganie o dobre stosunki ze wszelkimi urzędami nie może wyczerpywać całej pracy tej instytucji, powołanej bądź co bądź do tworzenia wartości kulturalnych. Wszyscy referenci spraw zbędnych w Ministerstwie Zagadnień Niepotrzebnych są zaszczycani wraz z małżonkami zaproszeniami tej instytucji. Na lekceważenie zaś narzekają ustawicznie pisarze, artyści i dziennikarze. Rezultaty takiego stawiania sprawy nie dały na siebie długo czekać.

Pułkownik Ford wyjechał już do Pragi, aby tam wykorzystywać pomoc czeską. Nie będzie to oczywiście pomoc w zakresie świeżo zawartego paktu. Pakt bowiem mówi o pomocy wzajemnej, a oczywiście „Film Polski" filmowi czeskiemu nic dać nie może.

Nominacja zastępcy dyrektora „Filmu Polskiego" w osobie inż. Albrechta obudziła pewne nadzieje wśród ludzi, którym leży na sercu sprawa polskiej kinematografii, t. zn. wśród tych, którzy nie są urzędnikami przedsiębiorstwa państwowego „Film Polski". Jak narazie jednak niewiele się zmieniło. I stwierdzić trzeba, że Albrecht przedwojenny właściciel „Ziemiańskiej" więcej dbał o dobre stosunki z prasą i z literaturą niż jego imiennik z „Filmu Polskiego".

Spekulanci w ofensywie przedświątecznej

Miesiąc marzec zaznaczył się od pierwszych dni zwiększonym popytem na cukier. Pomimo olbrzymich opadów śnieżnych i utrudnienia dowozu, transporty cukru płyną jedne za drugimi do poszczególnych placówek „Społem". Zdolność załadowcza cukrowni o bocznicach normalno - towarowych w wielu wypadkach nie wytrzymuje ogromu napływających zleceń i odbiorcy czekają w kolejkach po kilka dni na możność załadowania cukru. Bliska już jednak możliwość odciążenia tych cukrowni — odwilż i oczyszczenie dróg — nadejdzie lada dzień. Wtedy pójdą transporty z cukrowni o bocznicach wąskotorowych oraz transporty samochodowe.

Inaczej jednak myślą spekulanci, którzy usiłują wykorzystać moment chwilowego zahamowania dostaw, podwyższając ceny cukru. Już obecnie w większych ośrodkach podstępna propaganda spekulacyjna zaczyna działać w pełni. Z ust do ust podawane fałszywe wiadomości o zamierzonej rzekomo przez władze zwyżce cen cukru wywołują popłoch na rynku. Korzystają z tego tylko spekulanci, nabijając kieszenie kosztem okłamanego konsumenta. Należało by prowadzić akcję uświadamiającą ludność w celu ochrony jej przed wyzyskiem.

„Społem" posiada w tej chwili w magazynach swych hurtowni tysiące ton cukru, tysiące są również w drodze i w załadunku. Ogółem hurtownie „Społem" posiadają już zapas wystarczający na pokrycie pełnego zapotrzebowania ludności, prawie do końca marca, a zamówienia dalsze i dyspozycje do cukrowni idą bez przerwy po kilkaset ton dziennie.





rys. Ignacy Witz

Ministrowie Wielkiej Czwórki obradują w Moskwie

Kto zwyciężył w Azji?

LONDYŃSKI „Economist" zastanawia się nad tym problemem i twierdzi, że Japończykom nie udało się uzyskać popularności w krajach okupowanych przede wszystkim ze względu na postawę i zachowanie się oddziałów wojskowych. Nie udało się również zapewnić mieszkańcom zajętych krajów dobrobytu, jaki obiecywała im propaganda. Mimo to, tworząc marionetkowe rządy mogli się poszczycić rezultatami, których nie udało się uzyskać administracji kolonialnej angielskiej i amerykańskiej.

W konsekwencji w Indiach Subhas Chandra Bose uważany jest za narodowego bohatera, a żołnierze, którzy służyli w jego armii pod rozkazami japońskimi, są przedmiotem publicznego uznania. Partia Kongresu, która dziś jest przywódcą nacjonalizmu indyjskiego, odmawiała wszelkiej współpracy z Anglikami w wojnie przeciwko Japonii. W Burmie politycy, którzy w czasie wojny byli wierni Wielkiej Brytanii, nie cieszą się dziś popularnością. W Syamie, gdzie wprawdzie siły antyjapońskie doszły do władzy, Pibul Songgram, który wypowiedział wojnę Anglii i Ameryce, nie jest przez nikogo niepokojony. W obozie nacjonalistów indonezyjskich nie brak elementów wyszkolonych przez armię japońską, a na Filipinach przywódca miejscowego ruchu oporu z czasu wojny poniósł klęskę wyborczą.

Wniosek: W każdym z wymienionymh krajów wojna ujawniła dążenie do osiągnięcia własnej niepodległości kosztem zwalczających się obcych potęg.

Pieniądz jest okrągły

NIEDAWNO donosiliśmy o mianowaniu nowego ambasadora Argentyny przy rządzie gen. Franco. Na tym jawnym zlekceważeniu uchwały Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych nie skończyła się jednak historia stosunków argentyńsko - hiszpańskich. Rząd gen. Perona otworzył rządowi gen. Franco kredyt w wysokości 150 milionów funtów szterlingów.

Jak donosi korespondent angielskiego dziennika „Daily Graphic" z Lizbony, znaczenie tego kredytu dla Hiszpanii jest olbrzymie. Największą pikanterią jest jednak okoliczność, że jedną trzecią kredytów argentyńskich stanowią fundusze angielskie. Argentyna uzyskała w trakcie niedawnych rokowań handlowych odmrożenie kwoty 50 milionów funtów ze swych wierzytelności wojennych wobec Wielkiej Brytanii i kwotę tę odstąpiła obecnie Hiszpanii gen. Franco.

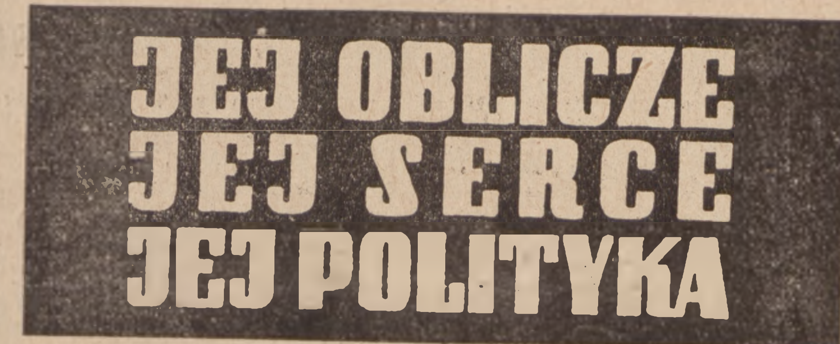
Dziwna historia...

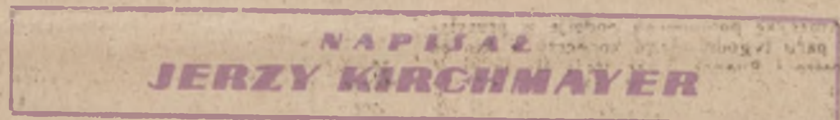
Japońscy magnaci zbrojeniowi na wolności

NIEMIECCY baronowie przemysłowi nie zasiedli na ławie oskarżonych przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym; nie słyszeliśmy również o tym, aby zajęła się nimi jakaś instancja denazifikacyjna. Oburzaliśmy się, ale to nie zmieniło w niczym faktycznego stanu rzeczy.

Okazuje się, że sytuacja w Japonii jest zupełnie analogiczna. W wielkim procesie przeciwko głównym sprawcom agresji japońskiej, jaki się toczył również przed Międzynarodowym Trybunałem, mówiono wiele o ekonomicznym przygotowaniu wojny, ale żaden z wielu dyrektorów i magnatów przemysłowych Japonii nie zasiadł na ławie oskarżonych. I nie zasiądzie, chyba, że zamordował jeńców wojennych. Dzieje się tak, mimo, że w Japonii wina wielkich koncernów jest bodaj jeszcze bardziej oczywista niż w Niemczech. Trudno się oprzeć wrażeniu, że nad głowami Kruppów i Thyssenów, Mitsui i Mitsubaszi unosi się ta sama opiekuńcza dłoń...

POLONIA AMERYKAŃSKA





III. Jej polityka

Coś się wyraźnie nie zgadza w amerykańskiej Polonii! Nie zgadzają się przecież te paczki, te konie, te jej troski i serca dla nas, a z drugiej strony ta — zdawałoby się — nieprzejednanie wroga postawa wobec nowej Polski. Jak to pogodzić?

Kiedy przyjeżdżacie do Stanów i kiedy obłożycie się już najróżniejszymi amerykańskimi dziennikami i periodykami polskiego pochodzenia, nabieracie przekonania, że znaczna większość Polonii amerykańskiej nie chce mieć nic, ale to absolutnie wspólnego z Polską. Cokolwiek ruszycie — to nie tak. Nas obchodzą granice nad Odrą i Nysą, ich obchodzą nasze granice nad Bugiem i Sanem. My chcemy, ażeby obce potencje dały nam spokój, oni martwią się, dlaczego rząd Stanów nie wyzyskuje fantastycznej potęgi swego kraju, ażeby wymusić zmianę naszego ustroju wewnętrznego lub zmianę naszego stosunku do Związku Radzieckiego. My chcemy, ażeby Polacy z Niemiec i Anglii jak najszybciej wrócili do kraju, oni chcą pomóc tym Polakom, ażeby uczynili to jak najpóźniej. My uważamy Raczkiewicza i Arciszewskiego, Andersa i innych za politycznych trupów, oni za nieustannie gorejące gwiazdy na politycznym firmamencie świata. Możnaby jeszcze długo wyliczać ale zawsze z tym samym skutkiem. My do Sasa, oni — do lasa!

Jeżeli posiedzicie dłużej w Stanach i zdarzy się Wam wziąć udział w jednym i drugim wiecu, to nie macie wątpliwości, że amerykańska Polonia zajmuje negatywną postawę w stosunku do wszystkiego, co się dzieje w Polsce. Ale przecież gdy rozmawia się z tym lub innym rodakiem, a nawet z tą lub inną grupą rodaków, nic nas nie dzieli, lecz wszystko łączy. To chyba jakieś nieporozumienie i o co tu chodzi?

Otóż Kongres Polonii prowadzi politykę jawnie wrogą w stosunku do dzisiejszej Polski. Kongres, powiązany od roku 1939 ścisłymi stosunkami z rządem emigracyjnym, uprawia politykę niewiele różną od dzisiejszych epigonów tego rządu. Najbardziej charakterystyczną cechą tej polityki jest dążenie do restytuowania przedwrześniowej Polski w lekko zmienionym wydaniu. W ten sposób Kongres odwraca oczy od dzisiejszej rzeczywistości w naszej części Europy. Kongresowi wydaje się, że Polska może wrócić do dobrych czasów Becka, kiedy to uprawiało się wielką, niezależną, a w gruncie rzeczy prestiżową i bardzo słabą, bo tylko prestiżową politykę. Kongresowi wydaje się, że nawrót do przedwrześniowej pozycji Polski otworzył by wrota wpływom anglosaskim. Kto wie, czy nie udałoby się nawet przemycić Raczkiewicza i Andersa?

W ten sposób Kongres Polonii usiłuje wypłynąć na szersze fale polityki światowej, a przy tej sposobności także i wewnętrznej polityki Stanów. Bo przecież taka właśnie polityczna postawa Kongresu, tak bardzo przeciwradziecka, powinna leżeć w interesie polityki Stanów Zjednoczonych i, co jest niesłychanie ważne, także w interesie zwycięskiej partii republikańskiej. Wszystko się zgadza więc wspaniale. Polsce wyrządza się ogromną przysługę, a przy tej sposobności może coś się wykroić także dla kongresowych przywódców.

Jakże zupełnie inna jest rzeczywistość i jakże myli się Kongres, w którym trwa ciężka posucha na talenty polityczne. Bo wiecznym nieszczęściem amerykańskiej Polonii jest brak prawdziwych mężów stanu, a urodzaj na pokątnych doradców. Dlatego skomplikowane położenie polityczne Polski przekracza możliwości oceny kierowników Kongresu. Ich polityka byłaby może słuszna, gdyby świat sterował wyraźnie ku nowej, bliskiej wojnie. Ale jest niesłuszna, gdy coraz wyraźniej zarysowuje się kompromis. W ramach tego kompromisu położenie Polski nie może bowiem ulec zasadniczej zmianie i dlatego negacja naszego dzisiejszego stanu rzeczy nie ma w sobie nic konstruktywnego, nie prowadzi do niczego i musi być skazana na niepowodzenie. Z punktu widzenia Polski taka polityka nie może w niczym ułatwić jej życia, przyśpieszyć odbudowy i wzmóc międzynarodowego znaczenia Polski. Z punktu widzenia Polonii taka polityka musi prowadzić do odosobnienia Polonii od Polski, co przyśpiesza tylko amerykanizację, czyli zadaje Polonii najboleśniejsze ciosy. Z punktu widzenia interesów Stanów Zjednoczonych taka polityka służy w najlepszym wypadku jakiejś przejściowej koniunkturze, bo Stany nie mogą mieć żadnego interesu w zagmatwaniu politycznej sytuacji naszego kraju i zamienienia go w teren międzynarodowych sporów.

Wreszcie autorytet Kongresu wcale nie wzrasta wskutek jego polityki negacji. Po pierwsze ani Kongres, ani też jego prasa nie potrafią sformułować zasad tej dobrej polityki, którą według ich zdania powinno uprawiać się w Polsce. Potrafią tylko powiedzieć, że teraźniejsza polityka polska jest zła, a to jest nieco za mało. Po drugie wszystkie prognozy Kongresu nie sprawdzają się. Nie zanosi się jakoś na XVII-tą republikę, nie ogłoszono licytacji, na której nasz rząd ma sprzedawać Polskę, paczki i konie dochodzą do adresatów, Polska odbudowuje się i jej sytuacja polityczna i gospodarcza poprawia się. Widzi to Polonia i coraz krytyczniej odnosi się do swojego Kongresu. Po trzecie nie widać, ażeby flirt Kongresu z republikanami przyniósł jakąś korzyść Polonii, nie mówiąc już o korzyści dla Polski. Na razie przeważają minusy w formie utraty wielu posad wskutek klęski poniesionej w wyborach przez demokratów.

W ostatecznym wyniku Kongres prowadzi swoją politykę, a Polonia swoją. Polonia przestała wierzyć Kongresowi, a głównym motorem jej poczynań jest żywiołowa chęć pomocy Polsce. W wyniku dochodzi do rozbieżnych działań. Kongres wstrzymuje paczki, Polonia je popycha, Kongres starannie pilnuje żelaznej kurtyny, Polonia uchyla ją i zagląda ciekawie do Polski. Kongres organizuje wielką akcję pomocy Polakom w Niemczech, którzy nie chcą wracać do Polski, Polonia podtrzymuje wielką akcję pomocy Polakom, którzy właśnie są w Polsce. Z tego wszystkiego powstaje nieprawdopodobny chaos. W jednej i tej samej organizacji ci członkowie ciągną do Polski, tamci od Polski. W jednym i tym samym mieście ci Polacy organizują wiec na temat dzisiejszych stosunków w Polsce, inni stają na głowie, ażeby taki wiec nie odbył się. Jeżeli dodamy do tego, że amerykańska Polonia jest zwarta tylko w ocenie ludzi zupełnie nieświadomych, w rzeczywistości zaś jest rozbita na nieskończoną ilość różnych zwalczających się organizacyj, to można wyobrazić sobie rozmiary dzisiejszego rozbicia Polonii i jej wielką słabość.

Cóż dziwnego? Przecież tajemnica siły Polonii leży w jasnym i pozytywnym stosunku do Polski. Każde odchylenie od tego godzi prosto w Polonię. Polsce — jak uczy doświadczenie — szkodzi tylko niewiele. A jeżeli tak jest, to z tej gmatwaniny wielkiego patriotyzmu Polonii z niedorzeczną polityką jej kierowników jest tylko jedno wyjście. Ponieważ nie ma siły, ażeby pomniejszyć gorące, patriotyczne uczucia Polonii, to musi znaleźć się siła, ażeby zmienić politykę Kongresu czy też nawet zmienić ludzi Kongresu. Tertium non datur.

Jest wiele znaków na niebie, że Polonia zmierza wielkimi krokami ku takiemu właśnie rozwiązaniu.

BRAT ZA RÓWNIKIEM

PAWEŁ NIKODEM

Red. „Gazety Polskiej" w Kurytybie przesyła nam następującą korespondencję

75-lecie osad Polskich w Brazylii

Siewca

W Kurytybie, stolicy brazylijskiego stanu Parana, na placu pomiędzy budynkiem kongresu prowincjonalnego a dworcem kolejowym — wznosi się pomnik, jakich mało na świecie. Na cokół granitowy wzniesiono tu nie generała na koniu, ani polityka w spiżu, czy poetę w marmurze. Miejsce owo uhonorowano zupełnie kimś innym — mianowicie bezimiennym Chłopem Polskim.

Na około pomnika ulice dwustutysięcznego miasta kipią w zgiełku, a tu pośród wachlarzy palm i grząd kwietnych postać Osadnika w bronzie, z rozwianym włosem, o słowiańskich rysach oblicza — gdy kroczy po świeżym zagonie i rzutem szerokim zasiewa w rolę chlebodajne ziarno. Po pierwszej wojnie światowej stawiano monumenty dla Nieznanego Żołnierza. Kurytyba uczciła Siewcę, dobrze jej znanego pioniera lechickiego rodu żywiciela krainy parańskiej.

Dwa światy

Szedł rok 1871. Mijał sierpień, miesiąc południowej wiosny, kiedy pięciotysięczna, niedawno do rzędu stolicy zaściankowej podniesiona mieścina kurytybska rozwierała szeroko oczy, dziwiąc się zjawisku, nie oglądanemu jeszcze w jej sennych i grząskich zaułkach. Pojawiły się jakieś typy zamorskie, których wygląd odbija rażąco od tutejszego środowiska.

Krajowiec, zwany kaboklem, jest wątły w sobie, rysy twarzy ma drobne — tamci zaś, to postacie rosłe i krzepkie, istne okazy zdrowia.

U niego cera jakby wędzona — u nich rumiana.

Czupryna tubylca czarna, często zwita — przybysze natomiast obnoszą po świecie grzywę lnianą, a oczy siwe.

Za odzieńko brazylijskie służy wiotka, przewiewna bawełna. Goście zjechali w tkaninach ze lnu i wełny: chłopstwo w sukmanach i butach z cholewami, podkutych, a połowice w grubych chustach i pasiakach.

Miejscowy drobi krok lekko, niczym myśliwy — gdy obcy stąpają ciężko, po gospodarsku.

Mrozem od tych cudzoziemców wieje. W ciepłe kraje wpadli w kożuchach i z pierzynami. Toż język kabokla nawet słów dla przedmiotów tych nie posiada — i później będzie się musiał posługiwać dziwolągami w stylu „cojuxeque" oraz „piexina", albo też niedorzecznym określeniem „sienn k z pierza".

Z którejże to planety przywędrowały owe zjawy, że u nich tyle nie samowitości?... Kiedy się odzywają, nie wiadomo, o co chodzi. Mowa ich nieokiełznana jakaś, trudna i szybka, że język połamać można. Raz trzeszczy, jakbyś przez zarośla się darł, potem pluszcze, jak gdybyś siklawy górskie przelewał. Nawzajem, nie chwycą w ucho, gdy do nich po luzytańsku zagadać. „Nix rozumie", brzmi odpowiedź — i od niej gwara murzyńska ukuje swoisty przydomek dla przychodźców mianowicie „Nho Rozumi".

To pierwsze słowo, jakiego Brazylijczyk się nauczy. Drugim będzie ogólno-polskie „pxiacreffe". O następnym milczę.

Podobnie dla nadjeżdżających świat na opak był nieodzownym tematem pierwszych uwag.

Gazda mówił do gazdy:

— Świat się przekręcił, kumie. Słonko z prawej przeszło sobie na lewą rękę...

Gaździna do gaździny:

— Mojaściewy! Słyszane rzeczy, aby Panienka Najświętsza Synaczka swego akurat w największy gorąc powić miała?

A wtem ktoś inny z gromadki, snać człowiek drażliwy, warknie znienacka:



Siedziba Poselstwa Polskiego w Buenos Aires.

— Do pierona! A do kogo ta czarna gęba wyszczerza zęby zza płotu i biała przewraca?

Ojciec kolonizacji

Jakimże skromnym posiewem zapoczątkowały się te setnotysięczne dzisiaj odrośla za równikiem, rozkrzewione ze szczepu Piastów? Na pierwszy rzut, o którym mowa, złożyły się zaledwie trzydzieści dwie rodziny. Imigranci wywodzili się z Górnego Śląska a gniazdem ich była gmina Siołkowice pod Opolem, położona nad strumieniem Brenicą, prawobrzeżnym dopływem Odry.

Familie Wosiów, Moczków, Pampuchów, Skrochów, później Kulików, Filów Kołodziejów — ruszyły w świat za pozywającym je inżynierem mierniczym Sebastianem Wosiem, rodakiem z tejże samej wsi. Ojciec pioniera, Szymon, za Napoleona się rodził. Młodzieniec Edmund, wychowanek szkół średnich w Opolu, powodowany brakiem możliwości życiowych pod Niemcem, puścił się za morze — i tu taj losy jego rozstrzygnęły się w Montevideo. Z jednej strony przykuwał go sam Urugwaj, z drugiej zaś omal, że nie zaciągnął się na wojnę paragwajską, pospołu z oddziałem ziomków, uchodźców po powstaniu w 1863 roku. W końcu obrał sobie Brazylię, dokąd się udał w towarzystwie rodziny Saporskich która go usynowiła i od której przyjął drugie imię. Osiadł z nią w stanie Św. Katarzyny, kolonizowanej natenczas przez Niemców.

Przypadek zdarzy, że początkujący osadnik spotka w borach katarzyńskich swojaka. Małopolanin tamten, ks. Antoni Zieliński, były towarzysz wyprawy habsburskiej po koronę Meksyku. Awantura zakończyła się rozstrzelaniem arcyksięcia Maksymiliana, biorący w niej udział Polacy uszli do Stanów Zjednoczonych — wojackim kapelanem zaś wiatr powiał aż do Brazylii, której władca, Piotr II, z portugalskiej dynastii Braganza, stał z domem wiedeńskim w powinowactwie.

O czymże ma pójść „cicha rozmowa rodaków", zawieruszonych gdzieś na krańcach świata, kiedy wokoło spod puszczy odwiecznej wstają świeże niwy? Z marzeń, tęsknot i rozważań tułaczych wyszło, że warto sprowadzić swoich. Tam w kraju ciasno, a utaj takie bezmiary pustek... Ot, choćby ta ościenna Parana, zupełnie jeszcze przez kolonizację nienaruszona.

W tej myśli Saporski przeniósł się do Kurytyby, zaczem listy z dobrą nowiną pobiegły wnet na Śląsk. Księżyna pozostał jeszcze na parafii w Św. Katarzyny i zginął bez wieści. Ponieważ był solą w oku niemieckiej spółce kolonizacyjnej, nasuwa się siłą rzeczy podejrzenie, iż padł ofiarą wrogiej zdrady.

Saporski był jednym z założycieli „Gazety Polskiej w Brazylii", macierzy czasopiśmiennictwa polskiego za równikiem, powołanej do życia w roku 1892. Należał do fundatorów pionierskiego zrzeszenia Polaków w Brazylii, jakim było T-wo im. Kościuszki w Kurytybie i przez szereg lat zasiadał w Kongresie Parańskim, jako poseł polski.

Cieszył się on wysokim poważaniem pośród Brazylijczyków, którzy nie odzywali się o nim inaczej, jak tylko „Pan Saporski". Choć ukąszony przez jadowitą żmiję jararaca, dożył lat blisko setki, umierając w roku 1933 w Kurytybie, gdzie prochy jego spoczywają na cmentarzu municypalnym — w dzielnicy, przylegającej do najstarszego osiedla polskiego, dzieła jego ręki.

Pielgrzymi

Opolska czujka przyszłych napływów znad Odry, Wisły i Dniestru pobłąkała się w drodze, zanim dobiła celu. W Kurytybie stawała nie prosto z Polski, lecz szlakiem okrężnym, po dwóch latach koczowniczej wędrówki. Myleniem wodziła ręka ukryta, która nie od razu porzuci zastawianie sideł — i owo cierpliwe wydobywanie się z potrzasku, wytrwałe poszukiwanie własnych siedzib oraz mozolne uczeranie ścieżki stanowią chrzest i pierwszą próbę, jakim nowa ziemia poddа kiełkującą zbiorowość.

Saporskiemu rok 1869 przyniósł z Siołkowic zawiadomienie tej treści:

— Wyjeżdża szesnaście rodzin. Następne się zbierają.

Rok minął; a żegluga ówczesna za równik odbywała się jeszcze żaglowcami. Gromady zapowiedzianej nie widać. Zamiast niej pojawia się nowe pismo:

— Właśnie pożegnaliśmy grupę drugą, także szesnastka familii. Dlaczego nie piszecie, co dzieje się z hufem zeszłorocznym?

Kupy zagubione odnalazły się nie gdzie indziej, a w Św. Katarzynie, owej z uporem powracającej prowincji, której stolica zwała się ówcześnie Desterro, po polsku „wygnanie". Siołkowiczanami ciśnięto pokryjomu pod miasteczko przymorskie Brusque, przechrzczone przez naszych na Brzózkę, gdzie opamiętali się na działach Sixteen Lots, opuszczonych przez Irlandczyków, a w sąsiedztwie dzikich Botokudów, co to nos i wargi sobie dziurawią. Dawać tu Polaka, niechaj wyciera popieliska po innych...

Wiadomość o tym dostał pozywający z ust gońców, jakich zaniepokojona gromada umyślnie doń pchnęła. Pięćset kilometrów zeszło posłom bezdrożem puszcz i gór, na piesz, aż stanąwszy przed ziomkiem, przenieśli prośbę w krótkim słowie:

— W o ś, r a t u j.

Okazało się, że kiedy wychodźcy breniccy, tak pierwsi jak drudzy, zjechali do Hamburga, łase na skórę słowiańską Germańce postanowiły skorzystać z nadarzającej się gratki i wziąć Ślązaków na lasso. Czego to Polak ma się wymykać spod prusackiej kontroli? On i za morzem winien być przytroczony do kajzerowskiego wozu. Rzuci się go w otoczenie teutońskie, gdzie do reszty zjanczarzeje.

Saporski pośpieszył do zawieruszonych, przy czym w okolicach Brusque musiał kluczyć pikadami, aby nie włazić na oczy szpiegującym czatom. Na dwa pokolenia przed Hitlerem Polakom zamorskim przypadło staczać boje z systemem osławionych obozów koncentracyjnych...

Po odbyciu narady z krajanami, inżynier począł działać. Najpierw pojechał do Rio de Janeiro, gdzie zyskał posłuchanie u cesarza, następnie poruszył władze kurytybskie. Dla dworu i urzędów krajowych sprawa nie była całkiem nowa, gdyż miały już w aktach poprzednie memoriały Saporskiego i odnosiły się życzliwie do jego inicjatywy.

Dzięki tym zabiegom, orszakowi pionierskiemu powiodło się wymotać z zarzuconej nań, krzyżackiej sieci — i został on przewieziony morzem do parańskiego portu Antonina, stamtąd zaś budującym się właśnie gościńcem Gracioza do Kurytyby.

Taki był pierwszy korzeń polski, zapuszczony w ziemie guarańskie. Jeżeli pionierzy w Stanach Zjednoczonych weszli do dziejów z tytułem „pielgrzymów" — to czyliż przydomek ten nie jest stosowny i dla naszych przodków w kraju św. Krzyża, skoro w trudzie pątniczym musieli wypielgrzymowywać sobie własne kąty?

Pół miliona członków PPS



Władysław Stangreciak tokarz metalowy z dzielnicy Wola w Warszawie otrzymał pięćsettysięczną legitymację PPS.

Film TYGODNIA

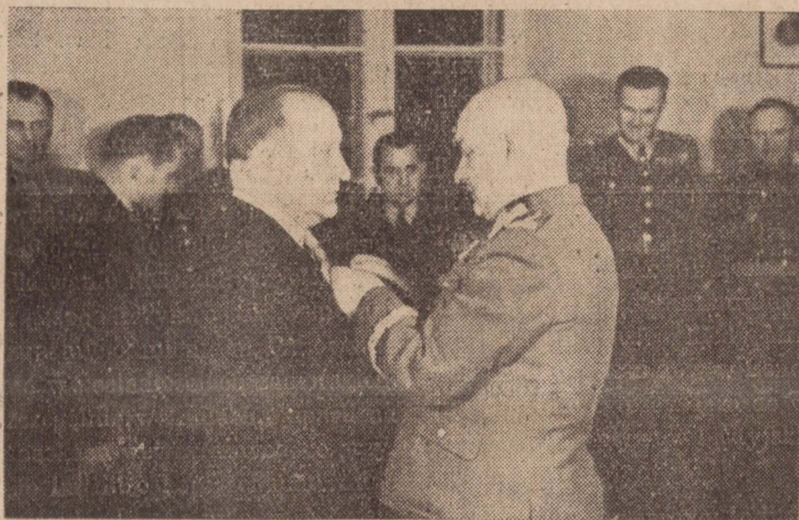


Wręczenia tej legitymacji dokonał na uroczystym zgromadzeniu w Romie sekretarz generalny PPS premier Józef Cyrankiewicz.

Oko w oko ze sprawiedliwością



Przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie, rozpoczął się proces R. Hoessa, byłego komendanta Oświęcimia. winnego śmierci czterech milionów ludzi



Bohater walk o wolność Hiszpanii — płk. Tadeusz Ćwik udekorowany został przez gen. Świerczewskiego Krzyżem Grunwaldu.



Premier Cyrankiewicz i premier Czechosłowacji Gottwald po podpisaniu historycznego paktu o przyjaźni i wzajemnej pomocy.



Ziemia dla chłopów. Marszałek Kowalski i minister Radkiewicz na uroczystości wręczenia tytułów własności osadnikom w Jordanowie.

(Fot. Film Polski).



Polska zasłużonym matkom. Prezydent Bierut wita się z ob. Branisławą Chróścielewską, matką trzynaściorga dzieci, w czasie uroczystości wręczenia odznaczeń w Belwederze.



Resztki śniegu na Placu Zamkowym w Warszawie

Władysław Pawlak

Wiedzieli czy nie wiedzieli?

Naród niemiecki wobec własnych zbrodni

Pewnego zimowego wieczoru siedzieliśmy z Edmundem Osmańczykiem w klubie prasowym w Berlinie. Niemiecka orkiestra przygrywała nam piosenkę o mojej Warszawie. Rozmowa zeszła po raz nie wiedzieć który na temat Niemców wiwatujących na cześć Hitlera i jego chwilowych sukcesów, a jednocześnie uparcie twierdzących, że nic nie wiedzieli o zbrodniach popełnianych nie tylko z jego rozkazu, ale w instynktownym wyczuciu jego pragnień. Kelner roznoszący napoje zbliżył się do nas. Zwróciłem się do niego:

— Franz, co wyście robili za czasów hitlerowskich?

— Ja?! — Franz nie zdziwił się. Prawdopodobnie słyszał to pytanie po raz setny. — Byłem antynazi. Pracowałem w Rzymie w ambasadzie niemieckiej, a przed tym u polskiego ambasadora, Wysockiego. Bardzo lubię Polaków. Po panu Wysockim ambasadorem został jakiś generał o strasznie skomplikowanym nazwisku *). Co to był za pan! Jak się znał na winie! Zupełnie co innego niż ci... Tu Franz spojrzał z politowaniem na Amerykanów pijących przy sąsiednim stoliku, ukłonił się i wrócił do kuchni.

Osmańczyk machnął ręką.

— Wiecznie to samo. Na kilka dni po wkroczeniu wraz z oddziałami I Armii do Berlina byłem u znajomego Niemca. Pokazywał mi zdjęcia. Między innymi była tam fotografia olbrzymiego placu wypełnionego po brzegi tłumem wiwatującym na cześć Hitlera i wznoszącym ręce w faszystowskim pozdrowieniu. Pytam się mego Niemca: „Gdzie są teraz ci ludzie?" A ten od razu: „Ja jestem antynazi. Tego dnia siedziałem w domu.

Ilekroć zapytać się Niemca, czy wiedział o obozach koncentracyjnych, o rozstrzeliwaniu jeńców i zakładników, o masowym wymordowaniu Żydów, o którejkolwiek z tysięcy zbrodni usłyszy się niezmienną odpowiedź: „Myśmy o niczym nie wiedzieli".

My wiemy, że to kłamstwo, ale świadomość nie zastąpi dowodu. Wprawdzie dziesiątki tysięcy Niemców przeszło przez obozy koncentracyjne, setki tysięcy a nawet miliony przewaliło się przez nasze ziemie, miliony cywilnych Niemców przechodziło obok wynędzniałych postaci w pasiakach, uprzątających gruzy bombardowanych miast niemieckich, pracowało w tych samych fabrykach obok słaniających się z wycieńczenia i męki jeńców i więźniów, ale „oni nie wiedzieli". Czytali obwieszczenia, słuchali nawet nielegalnie zagranicznego radia, ale „nie słyszeli". Niemcy co najwyżej przyznają, jak ów robotnik, którego żonę ścięto w Dachau, że o istnieniu tego obozu wiedziano w Bawarii, ale myślano, że to jest jedyne miejsce kaźni w Niemczech.

*) Mowa o gen. Wieniawie Długoszewskim.

Dziennik Ulricha von Hassel

Szukałem dowodów przeciwnych. Przeczytałem wiele książek i broszur opublikowanych ostatnio w Niemczech i poza granicami byłej Rzeszy. Odrzuciwszy materiały wydawane przez ludzi o nastawieniu antyfaszystowskim celem uświadomienia społeczeństwa, stanąłem wobec próżni. Nic się nie zmieniło. Niemcy nie chcieli wiedzieć o tym, co dzieje się pod ich rządami w krajach okupowanych i nadal nie chcą przyznać się do tego, że chowali głowy w piasek jak strusie, aby nie usłyszeć nic takiego, co mogłoby się nie podobać Gestapo. A jednak, kto chciał dowiedzieć się, był na ogół dobrze poinformowany, choć prawdopodobnie nie miał obrazu całości.

W procesie norymberskim generał Lahusen, jeden z szefów niemieckiego wywiadu, przyznał np., że zbrodnie popełniane na osobach sowieckich jeńców wojennych, były powszechnym tematem rozmów. Najbardziej sensacyjnym dokumentem jest jednak dziennik Ulricha von Hassel, posła niemieckiego w Rzymie za czasów przedhitlerowskich, później zajmującego drugorzędne stanowiska gospodarcze. Człowiek ten spędził większą część wojny w swoim majątku na południu Niemiec, podróżując jedynie od czasu do czasu do krajów bałkańskich, Francji i Belgii. Do chwili, gdy został rozstrzelany po nieudanym zamachu na Hitlera, nie udał się nigdy dalej na wschód niż do Berlina. A jednak wiedział.

11.10.1939. Hassel zapisuje w swoim pamiętniku pytanie:
„Gdzież są obecnie ci oficerowie i żołnierze niemieccy (znani ze swej rycerskości), jeżeli w Polsce prowadzono wojnę w sposób budzący grozę?"

25.12.1939. „Dziś po południu był u mnie Nostitz (wyższy urzędnik niemieckiego MSZ). Opowiadał przygnębiony o skandalicznych po prostu postępkach na terenie Polski, w pierwszym rzędzie ze strony SS; warunki panujące w rezerwatach żydowskich i terenach objętych wysiedleniem m. in. pod względem sanitarnym nie dają się w ogóle opisać. Rozstrzeliwanie setek niewinnych Żydów następuje w nieprzerywanych seriach... Blaskowitz (dowódca armii na terenie Polski) napisał memoriał, w którym pisze otwarcie o wszystkim. Jest tam zdanie, że sądząc z zachowania się SS w Polsce, należy żywić obawę, że rzucą się oni kiedyś w ten sam sposób na własny naród... Frank zachowuje się jak pasza chory na manię wielkości".

Relacje Williama Shirera

Trzeba zaznaczyć, że wspomniany memoriał Blaskowitza nie ujrzał światła dziennego. Generał zląkł się skutków swej odwagi i zniszczył swoje zapiski. Hassel dowiedział się po raz pierwszy o prześladowaniach Żydów na terenie Polski w końcu grudnia 1939 roku. W Berlinie wiedziano o tym już o wiele wcześniej. Amerykański korespondent radiowy William Shirer, który podobnie jak Hassel nie był w Polsce i zajmował się głównie relacjonowaniem oficjalnej historii wojennej, pisze w swoim pamiętniku:

19.11.1939. „Frank, gubernator generalny Polski, zadekretował dziś, że ghetto warszawskie ma być oddzielone od reszty stolicy i oddane pod ścisły nadzór policji. Znajomy Amerykanin, który wrócił stamtąd zapewnia, że zadaniem policji hitlerowskiej jest po prostu wymordowanie Żydów".

„Diabelskie dzieło Franka"

Wróćmy jednak do Hassla:

30.12.1939. Hassel jest w Berlinie i słyszy od Popitza, pruskiego ministra finansów: „Rządy terroru SS-ów na Wschodzie i ich tupet wobec armii, otwierają żołnierzom powoli oczy na pohańbienie Niemiec".

Tego samego dnia Hassel zapisuje:

„Goerdeler opowiadał mi, co Hitler oświadczył Greiserowi i Foersterowi. Oczekuje od nich, że w ciągu kilku lat uczynią z Poznania i Prus zachodnich ziemie niemieckie. A Pan, mój drogi Frank, musi w tym czasie doprowadzić swoje diabelskie dzieło w Polsce do końca".

28.1.1940. Tym razem Hassel notuje informacje otrzymane od niejakiego Schmitta, dyrektora towarzystwa ubezpieczeń w Monachium: „Funk (minister gospodarki narodowej) był przerażony deklaracją Himmlera, który powiedział mu, poprawiając na nosie ćwikier i nadając swej ordynarnej fizjonomii ponury wyraz, że otrzymał od Führera rozkaz dopilnowania, aby Polacy już nigdy nie mogli się podnieść. — A więc polityka wytępienia".

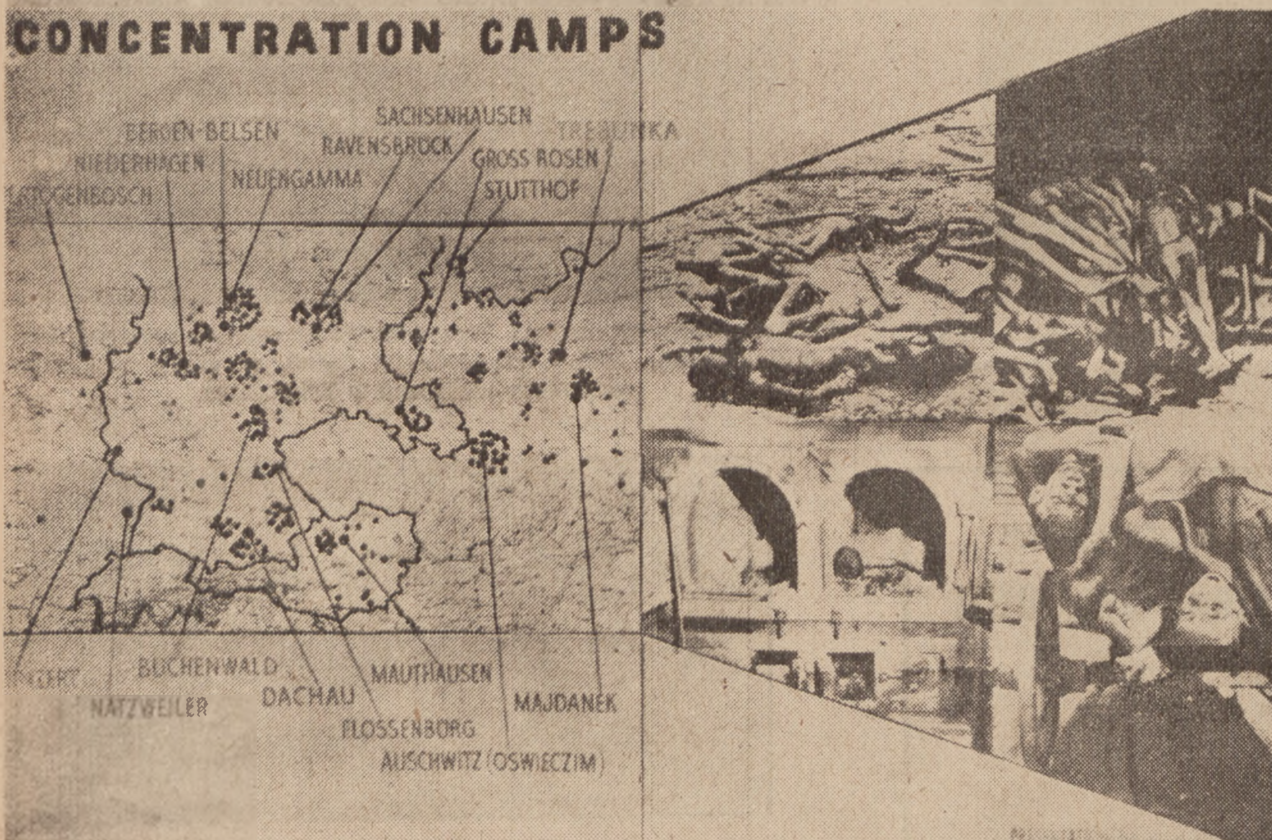
„Odwiedził mnie również pewien podpułkownik ze sztabu Blaskowitza. Ubolewał nad żałosną sytuacją, a przede wszystkim nad skandalicznymi porządkami panującymi na terenie Polski".

Amerykanin potwierdza

Dla uzupełnienia tych dosyć ogólnikowych uwag, warto sięgnąć ponownie do Shirera, który notuje wypadki, o których można się było oficjalnie, lub bez wielkiego trudu dowiedzieć w Berlinie. Na ogół wystarczało uważnie czytać gazety niemieckie:

9.1.1940. „W jednym z obozów jenieckich zabito 18 Polaków a 3 raniono. SS twierdzi, że stało się to w wyniku „rewolty". Armia protestowała u Hitlera przeciwko nieludzkiemu okrucieństwu Gestapo na terenie Polski. Wątpię, czy to odniesie najmniejszy bodaj skutek".

27.1.1940. „135.000 Niemców osiedla się na terenach zabranych Polsce. Aby zrobić miejsce dla nich, wyrzuca się Polaków z ich mieszkań, domostw i gospodarstw i wysyła do wschodniej Polski. Dr Frank, gubernator generalny Polski, wprowadził karę śmierci dla Polaków, odmawiających sprzedania swoich zapasów za cenę „rozsądną". Pozwoli to Niemcom na gruntowne obrabowanie Polski. Niemiecki sąd w Poznaniu skazał na śmierć 8 Polaków, w tym 3 kobiety, za rzekome „złe traktowanie" lotników niemieckich, na pewno spadochroniarzy. Sami Niemcy przyznają, że żaden z tych lotników nie zginął".



Mapa niemieckich obozów koncentracyjnych.

(Dokończenie na stronie 12)

KONGRES (II) WE FLORENCJI

(Opowiadanie historyczne)

Ale stoliczek nie nakrywał się przez długie dwie godziny. Profesor i Krasowicz już się zdecydowali na głodno iść spać, zjadłszy parę pomarańcz, jakie mieli z drogi, kiedy wreszcie sam gospodarz poprosił ich na wieczerzę. Reszta towarzystwa czekała na nich w jadalni. Zaczęło od wzajemnego przedstawienia się. Właściciel pensjonatu, ojciec Carli, nazywał się Lucchesi, stara dama nosiła z dumą sławne imię — nazywała się Fräulein Goethe. Z rozmowy, którą głównie ona prowadziła, okazało się, że od lat przeszło dziesięciu mieszka już tutaj we Florencji i że większość tej epoki przemieszkała w pensjonacie Lucchesi. Przybyła ona tutaj wraz z całym swoim ruchomym majątkiem, który stanowiła olbrzymia biblioteka, rozmieszczona po wszystkich pokojach pensjonatu. Za nic w świecie nie pozbyłaby się tego skarbu, odziedziczonego po rodzinie — ale też przez to nie może się ruszyć z miejsca i jest poniekąd przywiązana do swoich książek. Stary Lucchesi łypnął w tym miejscu okiem na pannę Goethe. Profesor począł omawiać z nią szczegóły biblioteki, którą stanowiły głównie prace z dziedziny filologii i historii. Krasowicz tymczasem zwrócił uwagę na młodą dziewczynę.

Carla siedziała jak na węglach. Widać było, że każde wejście przerażonej i przerażającej Lucii przyprawiało ją o niepokój i cierpienie. Służąca zaś, wchodząc, dostawała się natychmiast w obręb spojrzenia starego, które ją paraliżowało jak spojrzenie bazyliszka. Czyniła fałszywe ruchy, upuszczała naczynie — co wywoływało groźne choć nieme poruszenia małego diabełka. Wzruszał ramionami, wznosił oczy do nieba, czyniąc wszystkich świętych świadkami swoich cierpień i swojej cierpliwości. Carla rzucała ukośne, szybkie spojrzenia na ojca, po czym wzrok wlepiała w talerz.

Obiad ciągnął się długo, Krasowicz zrozumiał dlaczego tyle czasu zabrało jego przygotowanie. Mnóstwo pretensjonalnych, niesmacznych potraw przesunęło się przez toporne ręce Lucii. Krasowicz próbował rozmawiać z gospodarzem i z jego córką, ale mieli uwagę wyłącznie i z napreżeniem skierowaną w stronę podawanych półmisków, tak iż nic się nie kleiło. Lucchesi nie mówił zresztą po niemiecku, a Krasowicza włoszczyzna zbyt słabo się przedstawiała, aby mógł z nią występować tak na pierwszy ogień.

Zdawało mu się, że Carla tylko czeka na coś, co ma nastąpić, i że cała pogrążona jest w tym bolesnym oczekiwaniu.

— Ależ pani zadała sobie tyle trudu z tym obiadem — zwrócił się do niej Krasowicz, gdy Lucia wniosła cały półmisek karczochów osmażanych w oliwie — tyle potraw. To przecież zbędne.

Carla spojrzała na niego ze strachem i znowu nie odpowiedziała ani słowa. Natomiast stary wzniósł głowę do góry i wybełkotał:

— Pension Lucchesi ist Pension Lucchesi!

Carla zarumieniła się i znowu wparła swoje przejrzyste oczy w granatowy talerz przykrywając źrenice wielkimi, dziecinnymi, szeroko rozstawionymi rzęsami.

Właściwie mówiąc, jedli tylko profesor i panna Goethe. Profesor dolewał przy tym i sobie i Krasowiczowi wina, śmiejąc się zlekka z całej sytuacji.

— Panie — powiedział po polsku do Emanuela — niech pan pije wino, bo inaczej ta oliwa zaszkodzi panu paskudnie. A pan musi mieć dużo sił na kongres. To wyczerpująca rzecz. Wpadliśmy trochę, ale to nic nie szkodzi. Zobaczy pan prawdziwych ludzi, a wino wyjątkowo dobre.

„Zobaczy pan prawdziwych ludzi" — powtórzył sobie w myśli Krasowicz — może to i prawda? Cóż może być ważniejszego od prawdziwych ludzi? Chyba ci ludzie z papieru, z którymi zżył się w swoich powieściach. W swoich i cudzych. Czytał może za wiele.

Wychylił duszkiem szklankę **chianti** i spojrzał zdziwiony na Carlę.

Siedziała cała w ponsach i podniosła pełne łez oczy na ojca. Ten zaś ze wściekłą miną, gestem obrzydzenia i dezaprobaty wskazywał półmisek omletu z konfiturami, który wniosła teraz dla odmiany Lucia. Omlet był przypalony i porozpadał się na kawałki, polany czerwonawym sokiem, wyglądał rzeczywiście nieapetycznie.

— Papa — szepnęła Carla cichutko — papa, błagam ciebie...

Ale szept nic nie pomógł. Lucchesi porwał się z miejsca, schwycił półmisek z rąk czerwonej jak mak baby i patetycznym gestem podstawił go pod nos córki.

— Taki omlet? Taki omlet podaje się w „Pensione Lucchesi"? I ty myślałaś, że ja pozwolę podać sos podobnego moim gościom? Cudzoziemcom, którzy przyjeżdżają do Włoch na staro - rzymskie „ova mellita"? Dlaczegoś nie włożyła jej sama na półmisek? I teraz ja, były porucznik bersalierów, Aymone Lucchesi, muszę patrzeć na podobne paskudztwo? I to ty? Ty podajesz na ojcowski stół takie potrawy?

Poczerwieniał ze złości, oddał półmisek Lucii, która go zabrała do kuchni i stanąwszy przy wolnym końcu stołu, wsparłszy się na ręku i uderzając raz po raz pięścią w deskę, krzyczał i perorował. Panna Goethe próbowała go uspokoić, ale to się na nic nie zdało.

— Żeby w moim domu, moim pensjonacie dla cudzoziemców „ai signori Polacchi" — szlachetnego narodu Polaków — podano taki półmisek. O! Boże, jakże ty mnie karzesz, jaki ja jestem nieszczęśliwy, taką mając córkę...

Omlet był zwyczajny, ani lepszy ani gorszy od innych skomplikowanych potraw, jakie przygotowała młoda pani, a przynosiła służąca. Widać było, że Lucchesi czekał tylko na pretekst, aby zrobić córce tę straszliwą awanturę. Pienił się może przez kwadrans. Zażenowany profesor patrzył przez stół na Emanuela i mrugał jednym okiem, usiłując odnaleźć humorystyczną stronę okropnej sceny, ale Krasowicz siedział jak drętwy i nawet nie próbował się uśmiechnąć. Wreszcie Carla rozpłakała się na dobre i wstała od stołu. Uciekła szybko, teatralnym gestem ukrywając twarz w dłoniach.

— Panowie widzą, jaką mam córkę, — zawołał Lucchesi na zakończenie, usiadł na swoim miejscu i podał profesorowi owoce, jakie stały na stole.

Panna Goethe pochyliła się ku staremu Cielińskiemu i szepnęła konfidencjonalnie:

Napisał JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Ilustrowała Irena Kuczborska

— I to prawie codziennie takie historie.

— Biedna dziewczyna — szepnął również profesor.

Kiedy Cieliński i Krasowicz znaleźli się w pokoju profesora, Emanuel wybuchnął:

— Ładny pensjonat! Ani chwili dłużej tutaj nie będziemy mieszkać.

— Wie pan — powiedział profesor spokojnie — nie wynosiłbym się stąd jednak. Ministerstwo nie było hojne w opatrzeniu nas, a pensjonat bardzo jest tani. Łóżko wygodne, próbowałem, a nam głównie chodzi o spanie. Jedyny dzień, w którym pensjonat ma dla nas znaczenie, to jutrzejszy. Pojutrze zaczynają się obrady kongresu i już odtąd jesteśmy zajęci przez cały dzień. Ma pan — tu profesor przerzucił całą plikę programów i zaproszeń otrzymanych na dworcu — 23-go, to znaczy jutro, zebranie wstępne w hotelu „Savoia", potem dwudziestego czwartego z rana posiedzenie w Uniwersytecie, w południe śniadanie o rektora, zwiedzanie miasta, wieczorem obiad wydany przez „Municipio", dwudziestego piątego z rana, posiedzenie, w południe śniadanie prywatne. Ja mam zaproszenie do Papini'ego, a pan?

— Jakaś „comtesse Soudray" — powiedział Krasowicz zaglądając do „kartonu".

— Aha, to taka francuska wielka dama, zresztą kuzynka prezesa Schwartzenberga; gdzie to jest?

— W hotelu „Britannia".

— A to bardzo dobrze. Obiad wieczorny w uniwersytecie i przedstawienie w tearze „La Pergola". Trzeciego dnia po posiedzeniu śniadanie wolne — to ja panów zaproszę do takiej tu jednej restauracji — a wieczorem „banquet de cloture" w „Palazzo Pitti" i ognie sztuczne w ogrodach Boboli. No, a dwudziestego szóstego rano rozjazd. Ja jeszcze pojadę do Rzymu. — A pan? Ma pan jeszcze czas?

— Czasu mam dosyć — uśmiechnął się Krasowicz — gorzej jest z pieniędzmi. Może mi się uda zostać jeszcze we Florencji.

— No to się wtedy pan stąd wyniesie, ale wszystkie tanie pensjonatyy będą w tym rodzaju. Te panie są nawet sympatyczne. A przez parę dni będziemy tutaj przychodzić dosłownie tylko na noc. No, a noce, trzeba mieć nadzieję, będą tutaj spokojne.

— Biedna dziewczyna — szepnął Krasowicz i poszedł do siebie.

Stanął w otwartym oknie i wdychał pachnące, granatowe powietrze. Gwiazdy błyszczały nad Porta San Nicolo, większe i jaśniejsze niż u nas. Emanuel po raz pierwszy był we Włoszech i nic jeszcze nie rozumiał z tej cudownej krainy, ale już czar nieba, obnażonej architektury, ciepłego kolorytu działał na niego. Pomyślał o matce, która została sama w Warszawie, tak marzył o tym, aby pojechać kiedyś z nią razem do Włoch, tak jak razem byli przez dwa lata w Paryżu. W jej towarzystwie wszystko wydałoby się piękniejsze i może łatwiej poszłoby z pisaniem. A teraz ma jakąś niechęć do pióra i coś jakby czczość w środku. Obie powieści przyniosły tak mało pod względem materialnym, matka wciąż musi pracować w magistracie, a najcięższa jest ta pozostała z dawnych czasów opinia ludzi zamożnych, którym wszystko przychodzi z łatwością; gdybyż ojciec żył jeszcze!

W wypukłych jego niebieskich oczach odbijało się szafirowe niebo. Przez chwilę zastanawiał się nad swoimi projektami. Następna powieść musi być prosta, zwyczajna, bez żadnych śmiałości, których może jest trochę za dużo w tej ostatniej. Ale kiedy człowiek ma takie życie — Manu się uśmiechnął — w czterech ścianach mieszkania, z kochającą matką, zawsze we dwoje, zawsze w ciszy, latem domek w Świdrze — no, to trzeba się wyżyć chociażby w powieści. I tak dochodzi się do lat trzydziestu.

Ale niedługo myślał o tych poważnych sprawach, światło odbijające się mu w oczach, pejzaże widziane z okien wagonu, wszystko to migotliwym korowodem ciągnące przez głowę, rozmarzyło go. Myślał o biednej płaczącej Carli. W pierwszej chwili wydała mu się taka ładna, ale potem się rozczarował. Miała wąski nieładny nos i w pięknych oczach wyraz przestrachu, który go niepokoił. Miał coś zwierzęcego w sobie.

— Jeżeli ta powieść ma być prosta, spokojna — powiedział sobie — kładąc się do łóżka — no to w życiu...

Myśl tę przerwał mu gwałtowny dzwonek i jęki w przyległym pokoju. Niestety, nadzieje profesora nie sprawdziły się, noc nie zapowiadała się spokojnie. Emanuel domyślił się, że jego sąsiadem jest sam gospodarz. Jęczał boleśnie: „Lucia! Lucia!". Po kamiennej podłodze rozległ się tupot bosych nóg służącej. Krasowicz z reezygnacja przykrył się kołdrą. Okno zostawił otwarte. Słyszał jak Lucia przynosiła staremu wino i pomarańcze, jak stary jęczał boleśnie i wiercił się na łóżku. Powoływał się na swój stopień oficerski i przypominał nieboszczkę żonę. Jęczał i narzekał, wreszcie usnął, usnął i młody powieściopisarz.

Ale noc ta nie trwała długo. O szóstej rano Lucchesi gwałtownym głosem zażądał kawy. Krasowicz słyszał, że przyleciała lekkim krokiem sama Carla, że dramatycznym szeptem błagała ojca, żeby nie budził gości, że się przebudzeni niechybnie wyniosą, że przecież to jest ich ostatnia nadzieja: tak przynajmniej rozumiał jej słowa, a Carla dykcję, jak wszyscy Włosi, miała znakomitą. Zbyt jednak był zmęczony, spojrzał na niebieskie, szafirowe niebo w oknie, chciał nawet wstać, ale dwie noce z rzędu spędzone w wagonie zmogły go, odwrócił się na drugi bok i zasnął mocno, pomimo szeptów dobiegających z sąsiedniego pokoju.

Zbudził się koło dziewiętej i poszedł na śniadanie do profesora. Stary Cieliński, jak Jowisz z jasną brodą, siedział w niebieskiej piżamie pośród mnóstwa poduszek, kołder, puchowych betów z ogromną filiżanką kawy w ręku.

— Niech pan wleje do tej kawy kroplę koniaku z mojej manierki, zobaczy pan jak panu będzie smakowała — podawał srebrną, szczelnie zamkniętą, butelczynę Krasowiczowi.

(Dalszy ciąg na str. 11).



Profesor się zniecierpliwił. — Pani wybaczy — powiedział. — ale my jesteśmy nieubrani. Jak Pani widzi, ja leżę jeszcze w łóżku.

— Ja też jestem nieubrana — zawołała panna Goethe.

Eugeniusz Żytomirski

PARADA PUŁASKIEGO

Od szeregu już lat w dniu 11 października odbywa się na reprezentacyjnej ulicy Nowego Jorku — 5-ej Avenue — uroczysta defilada Polonii Amerykańskiej, tzw. „Parada Pułaskiego". Również i w ubiegłym (1946) roku, w 167-ą rocznicę śmierci pod Savannah bojownika o wolność dwu narodów, ogłoszoną przez prezydenta Trumana w specjalnym orędziu „Dniem Pułaskiego" („Pulaski Day"), szeroką, zabudowaną monumentalnymi gmachami aleją przemaszerowały przy dźwiękach orkiestr liczne organizacje i stowarzyszenia polskie New Yorku i okolic.

Było to widowisko ze wszech miar interesujące. Nawet najwystawniejsze rewie „Radio City Music Hall'u czy kinoteatru „Roxy" były niczym w porównaniu z tym, co się działo owego październikowego dnia na 5-ej Avenue.

Kilka godzin trwający pochód otwierał konny oddział policji nowojorskiej. Za nim kroczył „marszałek Parady", jeden z wielu prezesów jednej z wielu organizacji polskich w Nowym Jorku, w żakiecie i cylindrze. Kroczył samotnie, a za nim, w przyzwoitej odległości, podążała cała drużyna „wicemarszałków" — innych prezesów i wiceprezesów, również w żakietach i cylindrach. Następnie jechał samochód z olbrzymim portretem Generała Pułaskiego.

Nocny widok na Nowy Jork ze szczytu 102-piętrowego drapacza, najwyższego gmachu na świecie — Empire State Building.

Times Square w centrum Nowego Jorku.

Za samochodem szła naga dziewczynka. No — niezupełnie naga, powiedzmy: półnaga. Żeński „dobosz" w operetkowym, mocno przewiewnym kostiumie, o apetycznych nóżkach, wymachujący pałeczką i wykonujący całym ciałem dość skomplikowane i dwuznaczne ruchy. Zawodowa tancerka — oczywiście i bardzo możliwe, że nie znająca ani jednego polskiego słowa. Za doboszem — inscenizacja na ciężarowym samochodzie, gloryfikująca armię Andersa, z autentycznym „andersowcem" w mundurze i napisem: „Boże, chroń armię Andersa!"

Potem znowu rozebrane dziewczynki — dobosze, kilka naraz (od lat 6 do 22), poprzedzające tym razem ubrane w długie, powłóczyste szaty członkinie Towarzystwa Świętej Cecylii z Brooklynu. Jedna z nich ucharakteryzowana była na Statuę Wolności, druga zaś „przedstawiała" królowę Polski pochodzenia bliżej nieokreślonego. Miała jednak aksamitny, pąsowy strój z długim trenem, podtrzymywanym przez również rozebrane, żeńskie pacholęta. Następnie — dzieci z nowojorskiej, polskiej szkółki parafialnej w charakterze aniołków, amorków itp. Znów dekoltowane od dołu panienki — tym razem jednak nie dobosze, a cała już damska orkiestra, i to naprawdę niezła, na czele członków i członkiń parafii polskiej z New-Jersey-City. Z kolei — delegacja zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej. Znów wymachujące pałeczkami i tańczące dziewczynki itp., itp., itp....

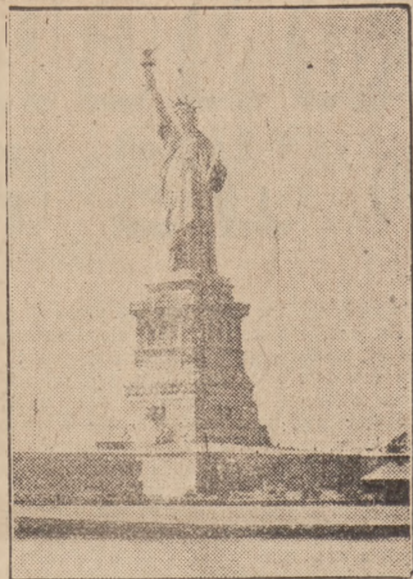
Pochód, powtarzam, trwał kilka godzin, krócej jednak, niż za lat poprzednich. A to dlatego, że zbojkotowany został przez Polonię demokratyczną, przez te wszystkie organizacje i stowarzyszenia (ze Stowarzyszeniem „Polonia" przy Międzynarodowym Związku Robotniczym na czele), które — dowiedziawszy się, że patriotyczną uroczystość z okazji rocznicy śmierci polskiego i amerykańskiego bohatera usiłuje wykorzystać dla swych politycznych celów reakcyjny Kongres Polonii Amerykańskiej — odmówiły udziału w skierowanej przeciw Macierzy manifestacji.

Zresztą — jeżeli chodzi o samych uczestników pochodu, to poza grupą sprytnych politykierów, mało kto zapewne orientował się w jego istotnym charakterze. Słabo piśmienni poczciwi rzemieślnicy polscy z przedmieść New Yorku posłusznie stawili się na wezwanie swych różnych „prezesów" i prowodyrów - wzbogaconych piekarzy, restauratorów i właścicieli zakładów pogrzebowych. Członkinie pobożnych towarzystw i wierne parafianki bez wahania stanęły przy bokach swych duszpasterzy. Przebrane za aniołków i żołnierzyków dzieciaczki w ogóle nie miały zielonego pojęcia, co „stoi" na transparentach, które kazano im nieść.

Reasumując — „Parada Pułaskiego" była wspaniałą okazją do zademonstrowania przechowywanych pieczołowicie w szafach i skrzyniach czarnych surdutów i maskaradowych strojów, była pyszną zabawą — tym bardziej, że po 5-ej Avenue, moja pani, byle kto nie paraduje i warto jest przypomnieć czasem przeklętym „Ajryszom", z kim mają do czynienia.

Po paradzie zaś organizatorzy patriotycznej „imprezy" przygotowali dla jej uczestników liczne bankiety, „karcianki" i „potańcówki". Co się tyczy młodzieży — to ta w ogóle z polityką nic nie ma i w tym wypadku nie miała wspólnego, zwłaszcza ze sprawą Polski. Polski, która tych młodych obywateli amerykańskich, nie znających już nawet przeważnie mowy ojców swoich, bardzo mało, między nami mówiąc, obchodzi. Rozebrane zaś panienki były — jeżeli już nie wyłącznie zawodowymi, jak założyłem wyżej, tancerkami, to w każdym razie członkiniami amatorskich zespołów choreograficznych. Możliwe też, że do grona tancerek przemyciło się kilka „cywilnych", odpowiednio rozwydrzonych i odpowiednio spragnionych publicznego demonstrowania swych wdzięków dziewic.

Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej nie był, rzecz prosta, na trybunie honorowej w zeszłorocznym Dniu Pułaskiego obecny. Stawili się za to obaj ubiegający się w okresie przedwyborczym o głosy nowojorczyków (Polonia nowojorska jest cyfrą nie do pogardzenia) kandydaci na senatorów. Zajmują oni diametralnie przeciwne stanowiska zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i polityki zagranicznej, co nie przeszkodziło jednak temu z nich, który jest zwolennikiem Jałty, odczytywać przeciwjałtańskich napisów na transparentach, a obu im — przyglądać się obnażonym udom uroczych doboszów. Nie można jednak zbytnio się temu dziwić, skoro największe i najbardziej „bojowo" usposobione pismo polskie w New Yorku zamieściło obok siebie sprzeczne wypowiedzi obu kandydatów. Na usprawiedliwienie trzeba zaznaczyć, że obie te wypowiedzi były — płatnymi ogłoszeniami.



Statua Wolności.

To trudno jednak: co kraj, to obyczaj. Dziwne stroje uczestniczek pochodu nowojorskiej Polonii po 5-ej Avenue w niczym się nie różniły od kostiumów ich amerykańskich koleżanek, używanych z okazji innych, podobnych manifestacji — a zwyczaje prasowe wspomnianego pisma polskiego wzorowane są ściśle na dziennikach amerykańskich.

KRONIKA KULTURALNA

GOJAWICZYŃSKIEJ „Krata" doczekała się oryginalnej wzmianki w „Kalendarzu Warszawskim" na r. 1947. P. Witold Bieńkowski pisze tam (str. 135): „Nieprawdziwy jest obraz tego Pawiaka, który utrwalić usiłowała (?) Gojawiczyńska. Bo na konto (?) Pawiaka, jego wszystkich więźniów, zapisać trzeba radość życia, nieustanną pracę i zrodzone z tej pracy szczęście tych, którzy niech pozostaną bezimienni". Jakoś trudno sobie wyobrazić, żeby ludzie, przed którymi stało wciąż widmo Oświęcimia albo egzekucji ulicznej, doznawali radości życia. Mogli zachowywać hart ducha i niezłomność — to inna sprawa, i takie heroiczne charaktery znajdujemy rzeczywiście w „Kracie". Radością życia odznaczały się, niestety, te bezimienne hieny ludzkie, które od nieszczęsnych więźniów wyszachrowywały ostatnie kosztowności i pieniądze za złudną i fałszywą obietnicę uwolnienia ich. Opinia p. W. Bieńkowskiego o „Kracie" zbiega się właśnie z przygotowanym do druku jej przekładem czeskim, który wśród czytelników czeskich budzi wielkie zaciekawienie. Dokonała go p. Helena Teigeova, która w roku ubiegłym przełożyła już „Dziewczęta z Nowolipek" („Devcata z Novolipek"), wyczerpane szybko w pierwszym nakładzie i zapowiedziane w drugim. Czeski przekład „Rajskiej jabłoni", pióra tejże tłumaczki, również jest w druku. Ponadto „Stolica" (Hlavni mesto") będzie się ukazywała w odcinkach praskiego pisma kobiecego. Gojawiczyńska w ogóle zdobywać zaczyna Europę. W najbliższym czasie ukaże się włoski przekład „Dziewcząt" pt. „Ragazze delle Novolipki", opracowany przez p. Evelinę Bocca w Mediolanie. Emigracja hiszpańska we Francji i we Włoszech wydaje ich przekład hiszpański. Wracając do „Kraty", mamy wiadomości, jak się tą książką zaczytuje nasza emigracja. Podobno ma wyjść jej polskie i francuskie wydanie we Francji. Opinia publiczna w kraju nie wiele o tym wszystkim wie, bo Gojawiczyńska należy do twórców, których wynosi Czas, nie rozpieranie się łokciami i przemijająca reklama

„KIEDY SIĘ UKAŻE narodowe wydanie dzieł Mickiewicza?" Oto pytanie, które Stefan Papée zadaje w „Odrodzeniu" (nr 8/117) redaktorowi naczelnemu tego wydania, Leonowi Płoszewskiemu. Płoszewski rozkłada ręce: ciemno wszędzie, głucho wszędzie. Dlaczego? Bo pieniędzy, jak nie ma tak nie ma, mimo majestatyczną uchwałę Krajowej Rady Narodowej, która jeszcze z początkiem r. 1945 postanowiła kontynuować przedwojenne sejmowe wydanie Mickiewicza i zapowiedziała lwią jego część już na rok 1946. Stefan Papée kończy swą rozmowę z Płoszewskim: „Redaktorze, stwierdzam najbardziej stanowczo: uchwała KRN nie została dotychczas spełniona. Jakże długo trzeba nam czekać na pełne wydanie dzieł największego naszego poety?" No, ale KRN już nie ma. Jest Sejm. Może on tu coś poradzi.

ST. ŁATKA

NOWE KSIĄŻKI

Zbigniew Uniłowski — 20 lat życia. Powieść. Wydanie III. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

Ludwik Hieronim Morstin — Kłos panny. Wydanie III. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

Upton Sinclair — Król-węgiel. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Jerzy Zagórski — Indie w środku Europy. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

J. B. Priestley — Trzej panowie w cywilu. Tłumaczenie Melanii Wesermanówny. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Stanisław Strzelbicki — Przywileje pracownicze kobiet, z przedmową Wandy Melcer Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Ludwik Hirszfeld. Historia jednego życia. Z cyklu „Żywoty nieurojone". Spółdz. Wyd. „Czytelnik". 1946. Str. 369 i 3 nl.

Jan Dobraczyński. Dwa stosy. Wyd. „Panteon". Warszawa. Str. 327 i 1 nl.

Stefan Kisielewski. Sprzysiężenie. Powieść. Wydawnictwo „Panteon". Warszawa. 1947. Str. 367 i 1 nl.

Cartyle B. Haynes. W ostatniej chwili. Tłumaczenie z angielskiego. Wydawnictwo Unii Zborów Adwentystów D. S. Kraków b. r. Str. 39 i 1 nl.

KONGRES WE FLORENCJI

(Ciąg dalszy ze strony 9).

Zaczęli rozmawiać o różnych napojach. Lucia przyniosła kawę, bułki, masło, postawiła wszystko na stole. Emanuel wlał kroplę aromatycznego koniaku do kawy i poinformował profesora o swej burzliwej nocy, nagle rozległo się pukanie i wzburzona panna Goethe gwałtownie przestąpiła próg. Siwe loki miała ukryte pod białym czepkiem, a na sobie miała zielony szlafrok.

— Panie profesorze — powiedziała od progu — niech pan ratuje tę małą. Ona przecież nie może żyć w ten sposób. Zresztą, za tę cenę, jaką on państwu powiedział, nie można dawać tak obfitego śniadania.

Profesor się zniecierpliwił.

— Pani wybaczy — powiedział — ale my jesteśmy nieubrani. Jak pani widzi, ja leżę jeszcze w łóżku.

— Ja też jestem nieubrana — zawołała panna Goethe.

— I my w ogóle nie będziemy dziś tutaj na śniadaniu — dodał profesor — uciekamy z panem Krasowiczem do miasta.

— Panie, ale on zadręczy tę małą.

— Bardzo żałuję, ale nie mogę się mieszać w rodzinne sprawy [illegible] Lucchesi.

Panna Goethe zniknęła, ale tylko po to, aby natychmiast mógł się zjawić czarny gospodarz. Ubrany jak do konnej jazdy, w długich butach ze szpicrutą w ręku, wpadł bardzo z góry na Cielińskiego:

— Jakto panowie nie będą na śniadaniu? Jak panowie mogą nie być na śniadaniu! Przepraszam, przepraszam, w moim pensjonacie nie można mieszkać bez całodziennego utrzymania. Inaczej też płacić nie można, jak za całodzienne utrzymanie. Zamówiłem dziś najwykwintniejsze śniadanie, moja córka, córka porucznika bersaglierów Aymone Lucchesiego chodziła dziś na targ, aby zakupić dla panów ryby, **pasta asciutta**, owoce. Rosół się warzy jak przystało w porządnych domach już od ósmej rano. Panowie nie mogą nie być na śniadaniu... Carla zapłacze się, jeżeli ten młody człowiek — tu wskazał na Krasowicza — nie skosztuje jej makaronu...

Profesor poruszył się niecierpliwie na łożu, pod nadpalonym baldachimem.

— Pan rozumie — starał się przerwać potok wymowy Lucchesiego — przyjechaliśmy na kongres, będziemy cały dzień zajęci. Nie możemy wracać na wszystkie jedzenia.

Lucchesi nagle zmienił ton i z górnolotnej emfazy i ostrego niezadowolenia przeszedł do intymnej i serdecznej konwersacji.

— Proszę pana — szepnął tajemniczo, siadając na łóżku profesora. — Kongres zaczyna się dopiero jutro, czytałem afisze. Jutro, pojutrze mogą panowie opuścić to i owo z mojego menu, aczkolwiek to moich kosztów nic nie zmniejszy. Dzisiaj dostaną panowie makaron, frytury z langusty, **cotoletti di vitello con piselli...**

Profesor zaczął się śmiać bezsilnie.

— Pan się zrujnuje na takie śniadania!

— Panie drogi, — wnikliwie szepnął ex-porucznik, pochylając się poufale do profesora — znam się na tych rzeczach, nie zawsze się miało pensjonat. Moja żona była marchesa di Canaccia z domu, nie byle co! **Villa** mojego teścia pod Ferrarą, oho! Byłem wówczas w pułku w Ferrarze. I gdyby nie ów idiotyczny pojedynek — gestem wskazał na sztywną nogę — pojedynek. Rozumie pan, **signor proffessore**, pojedynek! Jestem romantykiem od urodzenia.

Cieliński rozchmurzył się na dobre.

— No, doskonale — powiedział, mrugając na Krasowicza — przyjdziemy z miasta na śniadanie, ale pod warunkiem, że ani przed śniadaniem, ani po nim, ani w czasie niego nie będzie pan robił żadnej awantury. Że panna Carla będzie miała zupełny spokój.

— Ach — zawołał znowu patetycznie gospodarz — pan nie wie, co to za dziewczyna, **una ragazza!**

— Dobrze, dobrze — powiedział profesor, marszcząc brwi — warunek musi być spełniony, śniadanie bez burzy: **collatione senza tempesta!** — a teraz niech pan da nam się ubrać. Spieszymy się do miasta.

— Służę panu za przewodnika — zawołał Lucchesi, zrywając się zgrabnie z łóżka, pomimo sztywnej nogi, i z gracją uniósł w górę wojskową szpicrutę.

— Dziękujemy, dziękujemy — burknął profesor — znam Florencję jak własną kieszeń.

Nareszcie gospodarz skłonił się i zniknął za drzwiami.

— A tośmy się urządzili — zaśmiał się Cieliński do Emanuela. — Ubierajmy się czym prędzej. Tyle naszego co uciekniemy z pensjonatu. To piekło prawdziwe.

Krasowicz ubrał się i wyszli do miasta.

Pierwsze wrażenie oczywiście rozczarowało go. Cała masa miasta zielono-żółtawa, w stylu drugiej połowy dziewiętnastego wieku, nie mogła mu się podobać. Ale dzień był jasny i ciepły, niebo szafirowe, rozmowa profesora dobroduszna i mądra, tak że czuł się doskonale i nie mówił o swoim zawodzie. Z mostu dostrzegało się szczyty pokryte już śniegiem, na dole ciepło wydawało się letnie. Tym bardziej uderzyły Krasowicza perspektywy, kiedy wzdłuż Arna dostali się pod łukami galerii Uffuzi na platformę, z której już widać było Palazzo Vecchio. Sam plac przed pałacem umeblowany jak średniowieczna sala, mocno, prymitywnie, ale zadziwiająco pięknie olśnił go ostatecznie. Przeszli się przez via Calzaioli aż do katedry, która wznosiła się jak różowo-zielona góra przykryta swoją glinianą kopułą, w niebieskim jaskrawym świetle. Wrócili z powrotem, siedli na werandzie jakiejś kawiarni na Piazza della Signora i śledzili ożywiony ruch przetaczający się hałaśliwie, a obojętnie u stóp potężnej masy pałacu, obok białego Dawida, obok loggi pełnej upiornych, jasnych postaci. Florentyjczycy, bynajmniej niepodobni do marmurowych wzorów, ponastawianych tu przez ich przodków, zajmowali się handlem, jedzeniem, targowaniem się, albo zwyczajną rozmową, żywą, ale dotyczącą cen jarzyn albo wartości produktów rynkowych.

Zanim się obejrzeli, trzeba było wracać na śniadanie. Szli wzdłuż Arna, oglądając się na Ponte Vecchio, zatrzymując się nad wąską falą bystrej rzeki, albo patrząc na fiołkowego koloru wzgórza wznoszące się nad miastem.

Dla Krasowicza jednak najbardziej południowo wyglądało jego okno w pokoju. Ogromny otwór wpuszczał mnóstwo światła i prawie cały był wypełniony błękitem. Pomarańczowy kawałek średniowiecznej baszty, parę dębów korkowych, strzępiaste liście laurów tkwiły w nim jako drobne dopełnienia. Na stoliku przed oknem znalazł koszyk, cały wypełniony jednym winnym gronem, bursztynowego koloru. Któż to mi tu położył ten złoty skarb? Lucia?

Śniadanie zaczęło się w napreżeniu, ale Lucchesi był w dobrym humorze, bawił towarzystwo opowiadaniem o dawnej świetności domu teściów w Ferrarze, sam przyprawiał sałatę. Chwilami zresztą milknął nagle i z ponurą miną patrzył w talerz lub w okno, obojętny na wszystko. W tych momentach panna Goethe wstawiała swoje słówko, wypowiadając prawdziwe „platutudes" o mieście i jego sztuce. Raz nawet surowo zganiła Michała Anioła za jego niepokój. Wbrew włoskiemu zwyczajowi, który każe zamykać szczelnie wszystkie okna, zapewne pod wpływem niemieckiej damy, żaluzje były otwarte od strony Porta San Nicolo. W momentach ciszy, która zapadała nagle po tyradach Aymona i po słodkich słowach panny Goethe, słychać było szczebiot jaskółek na wieżą i nad oknami.

— To są już nasze — powiedział profesor — przyleciały razem z nami.

Przez cały czas jedzenia Manu nie spuszczał oka z Carli, która nie zabierała głosu. Pomimo to wyczuł w niej jakąś spokojną radość, pogodę, pewność ciszy. Od czasu do czasu podnosiła swoje ciemne powieki i obrzucała jasnym i wdzięcznym spojrzeniem profesora, na którego barkach spoczywał cały ciężar konwersacji. I gospodarz i stara panna do niego tylko się zwracali.

Carla jak gdyby unikała Krasowicza, nie patrzyła na niego, dziękowała mu ledwie skinieniem głowy, gdy przysuwał jej chleb czy sos. Wstawała spokojnie, aby pomóc Lucci w podawaniu czy zbieraniu talerzy, siadała równie spokojnie na miejscu. Służąca również zdawało się odzyskała kontenans i nawet wtrąciła się parę razy do rozmowy. Słów jej Krasowicz nie rozumiał, mówiła górskim dialektem Abruzzów.

Dopiero na deser Carla postawiła na stole klosz napełniony takimi samymi winogronami, jakie Emanuel zastał u siebie w pokoju.

Mimowoli — widać to było — dziewczyna spojrzała na niego i oczy ich skrzyżowały się. Carla zapłonęła cała jak mak, aż po nasadę włosów, ale wytrzymała wzrok Krasowicza i nawet w kącikach jej ust zadrgał śmiech, wesoły, szaleńczy śmiech z trudnością powstrzymywany. Krasowicz zadrżał.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

„RZECZYWISTOSC"

3. Finał, czyli sen ze srebra

Kiepski byłby pisarz-realista, gdyby nie brał wzorów z rzeczywistości, z żywych ludzi *). Zależy tylko, jak to czyni i jakie ma cele. Jeżeli czysto artystyczne — w porządku. Jeśli doraźne, jeśli chce załatwiać porachunki z portretowanymi ludźmi, może przekroczyć granice sztuki i wkroczyć w dziedzinę pamfletu, nawet paszkwilu. Putrament w „Rzeczywistości" ma obydwa cele na względzie: prawie wszyscy, z nielicznymi wyjątkami, ludzie związani z Dembińskim ujęci są artystycznie: przeciwnicy ich, zwłaszcza sfery rządzące, sanacyjne, doczekali się pamfletu, przedstawieni są karykaturalnie, zdecydowanie ujemnie. Nie mam zamiaru bronić sanacji, myślę jednak, że podział w ogóle ludzi na „białe" i „czarne" charaktery nie jest zgodny z rzeczywistością. Wolno sobie na takie uproszczenie pozwolić w efemerycznym artykule, w felietonie, w szkicu polemicznym, ale nie w powieści, która jest monumentalnym dziełem sztuki, i ambicją autora powinno być zapewnienie jej trwałości w literaturze. Wiemy, że w życiu nie ma ludzi ani absolutnie złych ani absolutnie dobrych. „L'homme n'est ni ange ni bête" — powiedział, zdaje się, Pascal, a powtórzył Flaubert. Człowiek jest tylko człowiekiem, i wielkość pisarza polega na tym, że umie z każdego okazu ludzkiego wydobyć człowieczeństwo, nie idealizując ani nie zgęszczając barw ciemnych. To jedno.

Druga rzecz — gdy się portretuje żywych ludzi i wprowadza ich do utworu literackiego, trzeba pamiętać, że literatura polega nie na kopiowaniu, nie na fotografowaniu rzeczywistości, lecz na artystycznym jej przetworzeniu. Postaci powinny być, że się tak wyrażę, „zdeaktualizowane", t. j. pozbawione swych cech chwilowych, koniunkturalnych, zależnych od czasu i miejsca: muszą się stać do pewnego stopnia „bezczasowe" i „bezmiejscowe", czyli ogólno-ludzkie, zawsze i wszędzie możliwe, powszechne. To im zapewnia **życie** w literaturze i powieść przemienia w dzieło, przez każdego człowieka zrozumiałe, każdemu bliskie. Tak — powiedzmy tylko dla przykładu — umiał uczłowieczać swych „aktualnych", branych z życia bohaterów, Conrad czy Flaubert: takimi stały się postaci z „Wesela" Wyspiańskiego, bo mało już kogo obchodzi, a za lat pięćdziesiąt w ogóle nie będzie obchodziło, że Pan Młody — to Rydel a Gospodarz — to Włodzimierz Tetmajer. Tak samo ze swymi wzorami żywymi postępował Dostojewski. Jego np. „Biesy" wysnute zostały z autentycznej historii i procesu Nieczajewa. Ale kogo to interesuje? Interesuje tylko wielkie dzieło sztuki, jakim są „Biesy". Postać znakomitego literata Karmazinowa, występująca w „Biesach", to karykatura Turgieniewa. Ale o tym wiedzą tylko grzebiący się w pyle historycy. Dla czytelnika jest to absolutnie obojętne. Chodzi mu o człowieka, o prawdę życia.

Z Putramentem inaczej. Jego „Rzeczywistość" sprawia plotkarską przyjemność czytelnikowi tylko wówczas, gdy on wie, kim jest ten czy inny jej bohater. W przeciwnym razie „Rzeczywistość" go nawet nudzi. Oto dowód, że Putrament jako powieściopisarz nie umiał się jeszcze uporać z rzeczywistością. Bo też utwór jego nie jest właściwie powieścią. Powiedziałem o nim: „pictures". Istotnie, jest to raczej scenariusz filmowy, dość rozwlekły, lub coś w rodzaju reportażu, który przypomina trochę książki Sergiusza Piaseckiego, a trochę „Strachy" Uniłowskiej albo „Zaklęte rewiry" Worcella, nie mając jednak ich sugestywności. Mimo to nasuwa „Rzeczywistość" wiele materiału do rozmyślań, ponieważ — obok „Murów Jerycha" Brezy i „Sprzysiężenia" Kisielewskiego — jest próbą analizy i oceny naszej przedwojennej rzeczywistości.

Niestety, i tak się rozgadałem o książce Putramenta za dużo, bo aż w trzech felietonach. Nie mogę nadużywać cierpliwości czytelnika. Więc tylko krótko dwie sprawy, aczkolwiek miałbym ochotę przeprowadzić analogię pomiędzy „Rzeczywistością" a „Biesami", bo żywię przeświadczenie, że „Biesy" zaważyły na koncepcji „Rzeczywistości", i nawet taki wojewoda Czapliński przypomina gubernatora von Lembke, a strajk w lidzkiej fabryce „Ardal" — bunt w fabryce Szpigulewych. Mniejsza jednak z tym.

Myślę przede wszystkim, że Putrament nie przedstawił wiernie dwóch swych naczelnych bohaterów — Dembińskiego i Jędrychowskiego, nie uchwycił ich genezy duchowej i nawet pomniejszył rolę, jaką w rzeczywistości odegrali. Jeżeli o grupie Dembińskiego należy mówić, że wywołała ferment „rewolucyjny" w życiu wileńskim w pierwszym jego okresie, że — jak każdy ferment — podziałała zapładniająco na umysły — stało się to dzięki tym dwum przywódcom, o których można by, jak o przywódcach rewolucji w ogóle — twierdzić, że dopełniali się znakomicie jako kontrasty: teza i antyteza, przeznaczone w przyszłości do stworzenia syntezy. Płomienny, zapalczywy krasomówca Danton — i chłodny mózg rewolucji — Robespierre; niby w „Nieboskiej" Krasińskiego: burzliwy uczuciowiec Leonard — i sprawny, zimny, matematyczny intelektualista — Pankracy. To — Dembiński i Jędrychowski. Tej paraleli, tego pogłębienia charakterów nie ma u Putramenta.

Negatywnie też, mizernie i ponuro odmalowane zostało samo Wilno. Zwróćmy uwagę na opis tego „nudnego miasteczka" na str. 329. „Miasteczko", gdzie są tylko domy publiczne i obskurne żydowskie knajpy z zapleśniałym śledziem na ladzie; gdzie — jakby rzekł Tuwim — nic, tylko tajniak na tajniaka mruga (ale „Bal w operze" jest heinicznym pamfletem, nie 500-stronicową powieścią, obrazującą życie) i gdzie w ciemnych zaułkach chce się człowiekowi tylko kląć: gówno, gówniarz, opierdolić, nasermater, zasrany... Zdarzają się nieraz te nieartystyczne epitety u Putramenta. A przecie w tym mieście było kilka wyższych zakładów naukowych; wydział sztuk pięknych ze Śleńdzińskim, Kuną, Niesiołowskim, Jamonttem, Hoppenem, którzy tworzyli klasycystyczną t. zw. szkołę wileńską; wychodziło tam kilkadziesiąt pism we wszystkich językach krajowych; brukowano śródmieście bazaltem i granitem; grały teatry... Zresztą, co tu dużo gadać. Na gruncie zapleśniałych śledzi czy mógłby się zrodzić taki kwiat jak dembińszczyzna, tacy poeci jak Żagaryści i wreszcie sam Putrament? Putrament jest słabym psychologiem i w dodatku nietęgim marksistą, bo nie uwzględnia praw środowiska, ekonomiki i tego, co się nazywa „genius loci".

Ale dość o tym. Można by powiedzieć krótko: jeżeli u Krasińskiego „rzeczywistość" się pomału w świat przemienia ideału, w sen ze sreba i kryształu" — to u Putramenta naodwrót: Dembińskiego sen ze srebra i kryształu przemienia się w „rzeczywistość".

Skończyły się tamte czasy, które można by — można — przyrównać nieco do buchających zapałem czasów studenckich Mickiewicza, a Dembińszczyków do filomatów, filaretów i promienistych. Odwróciło się koło historii. Dziś dembińszczycy spożywają panis bene merentium: są ministrami, ambasadorami, naczelnymi redaktorami — i być może, powtarzają sobie niekiedy filozoficzne słowa poety: „Zmiennego bytu falo ty ruchliwa, co nas unosisz po wszechświata toni! Daremnie wzrok nasz za tym wszystkim goni, co pod powierzchnią twoją się ukrywa..." Tylko on nie żyje, powalony kulą niemiecką.

JERZY WYSZOMIRSKI

*) Por. „Podpałka" i „Putrament-Pictures" w nr nr 10/34 i 11/35 „Tygodnia".

Wiedzieli czy nie wiedzieli?

(Dokończenie ze strony 8).

Rasa panów

Prawie przez pół roku zapiski zarówno Amerykanina jak i Niemca nie wspominają o Polsce. Inwazja Norwegii, Holandii, Belgii, zwycięstwo na froncie zachodnim, zaprzątnęły ich uwagę. Na jesieni sprawa traktowania Polaków wypłynęła ponownie. Shirer notuje:

22.9.1940. „Wiemy, że Himmler powiesił Polaka za stosunek z młodą Niemką. Kilku Niemców opowiadało mi o plakatach umieszczonych w miejscach dobrze widocznych w miastach prowincjonalnych. Wzywa się Niemców do nieutrzymywania żadnych stosunków z robotnikami polskimi i do traktowania ich w sposób surowy. W ubiegłym tygodniu doręczono do wszystkich mieszkań w Berlinie ulotkę miejscowego biura Związku Zagranicznych Niemców. Oto kilka wyjątków z tego dokumentu: „Narodzie niemiecki! Nie zapomnij nigdy, że to Polacy swoimi okrucieństwami zmusili Führera do zbrojnej obrony Niemiec!... Pamiętaj, że nie ma nic wspólnego między Polakiem a Niemcem! Uważaj dobrze, by żaden kontakt nie wynikł z faktu wyznawania tej samej wiary!... Chłopi niemieccy, słysząc Polaka mówiącego: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" ,mogliby pomyśleć, że to człowiek przyzwoity i odpowiedzieć: „Na wieki wieków. Amen!" — Niemcy! Polak nie może nigdy być waszym towarzyszem. Jest czymś niższym od każdego Niemca ze wsi lub z fabryki. Bądźcie sprawiedliwi jak Niemcy, ale nie zapominajcie nigdy, że reprezentujecie rasę panów!"

21.3.1940. „W Poznaniu skazano znów 3 Polaków na śmierć, rzekomo za zamordowanie Niemca w czasie wojny. Powiadają, że w więzieniach Berlina 16 kobiet polskich oczekuje na ścięcie".

Ogólny wniosek Shirera:

„Wszystko to co Polacy i Czesi muszą wycierpieć, nie wyłączając masakr, jest zdaniem Niemców słuszne, ponieważ następuje z ich rozkazu, a ofiary należą do niższej rasy i winny uznawać za dobro wszystko, co pochodzi od Niemców".

„Zmuszają obecnie Polaków pracujących w Niemczech, do noszenia opaski lub naszytej oznaki z wielkim „P" koloru fioletowego na żółtym tle".

Greiser mówi

Siedząc w swym majątku Ebenhausen v. Hassel wiedział więcej jeszcze niż dziennikarz amerykański:

8.10.1940. „Każdy Polak musi teraz nosić „P". Jako uzasadnienie tego postępowania mówi się publicznie, że nie ma porządnego Polaka, tak jak nie ma porządnego Żyda. Mała pociecha, że coraz częściej młodzi oficerowie, urzędnicy a nawet SS-owcy usiłują się uwolnić od służby na terytoriach okupowanych, ponieważ „wstydzą się, że są Niemcami". Z drugiej strony opowiadał mi młody adwokat Berthold, który pracuje u generalnego gubernatora w Krakowie, że młodzi narodowi socjaliści z jego generacji tracą stopniowo wszelki umiar. Żyją wśród tej całej ohydy i zatracają swój początkowo krytyczny stosunek Naśladują swoje otoczenie, ubiegając się tylko o osobiste korzyści czy to w postaci stanowiska czy też osobistego wzbogacenia. Berthold namalował straszny obraz sytuacji w Polsce: równolegle do stopniowego wycieńczenia głodujących robotników i systematycznego wymordowania Żydów, prowadzi się piekielną kampanię przeciwko polskiej inteligencji, z wyraźnym celem wytępienia jej. Za jednego zaginionego SSowca, rzekomo zamordowanego przy wykryciu składu broni, zamordowano 500 intelektualistów wybranych dowolnie z listy adwokatów, lekarzy itd...."

11.11.1940. „Najbardziej charakterystyczny dla mentalności naszych władców jest odczyt jaki przed kilku tygodniami miał Greiser. (Hassel nie podaje gdzie i wobec jakiego audytorium referat został wygłoszony. Greiser ma polecenie Führera, aby żaden Polak, bez względu na warstwę społeczną, z której pochodzi, nie uczęszczał dłużej do szkoły niż 3 lub 4 lata, aby opanować elementarne zasady czytania, pisania i liczenia w takim zakresie, by mógł podpisać swoją kartę pracy. Dla takiej nauki szkoda niemieckich nauczycieli; po wojnie odkomenderuje się do tego 7000 podoficerów. Po tych 3 czy 4 latach: marsz do kopania buraków i kartofli!"

Trzy dni później Shirer zamieścił ostatni swój zapisek w pamiętniku przed opuszczeniem Niemiec.

14.11.1940 „Według moich informacji naród polski przestanie istnieć, jeżeli Frank i jego hitlerowscy bandyci wykonają swoje zadanie. Nie mogą ich wprawdzie wszystkich wymordować, ale mogą ich doprowadzić do niewolnictwa".

Pamiętnik Hassla mówi dalej:

19.1.1941. „Odwiedził mnie Berthold. Przyprowadził ze sobą swego przyjaciela Frauendorfera (złota oznaka partyjna, urzędnik Franka). Jego rozpacz z powodu sytuacji w Polsce robiła duże wrażenie. Z innej strony słyszę, że w Polsce ulokowano wszystkich Kreis- i Ortsgruppenleiterów, wypędzonych uprzednio z powodu nieudolności".

18.5.1941. „Przed kilku dniami odwiedził mnie Frauendorfer, aby się przede mną wypłakać. To, co widzi w Polsce, napawa go rozpaczą. Dwa przykłady z jego relacji: 1) Himmler powiesił po prostu 180 polskich robotników rolnych za stosunki z Niemkami. Frauendorfer udał się osobiście do Himmlera, aby zaprotestować i wskazać, że w tych warunkach nie może werbować sił roboczych Odpowiedź brzmiała: „Zbadałem wszystkie wypadki dokładnie. Kazałem sobie przysłać fotografie i stwierdziłem osobiście, że powieszenie było w każdym wypadku uzasadnione ze względów rasowych!!!" 2) Generalny gubernator Frank... pisze do Martina Bormanna, że w czasie ostatniej rozmowy Führer powiedział mu — Frankowi — że polskich robotników rolnych należy traktować tak jak innych robotników cudzoziemskich... Odpowiedź: On, Bormann był obecny przy wszystkich rozmowach i wie, że Führer nie zajął takiego stanowiska, lecz uważał, że Polacy nie są Europejczykami ale Azjatami, którzy zasługują jedynie na knut".

1.11.1941. „Generał Thomas opowiedział mi powiedzenie pewnego wielkiego przemysłowca w czasie uroczystości v. Poensgen, że wymordowanie jeńców jest słuszne, gdyż w ten sposób Niemcy pozbędą się tej nieużytecznej rasy".

1.8.1942. „W Polsce dzieją się nadal rzeczy tak straszne i koszmarne, że trzeba się czerwienić ze wstydu. Duży wzrost brutalności wobec Żydów... Deportuje się coraz więcej ludzi — w Polsce, jak już zaznaczyłem — morduje się ich po prostu".

20.12.1942. „Frauendorfer wywarł na mnie duże wrażenie przez swoją rozpacz z powodu tego, co przeżywa codziennie i co godzinę w Polsce. Jest to tak straszne, że nie może dłużej wytrzymać... Ciągłe niemożliwe do opisania mordy Żydów przybierają olbrzymie rozmiary. Po godzinie policyjnej SS-owcy wjeżdżają z karabinami maszynowymi do ghetta i strzelają do wszystkich, np. do bawiących się dzieci, które na nieszczęście zapóźniły się nieco na ulicy".

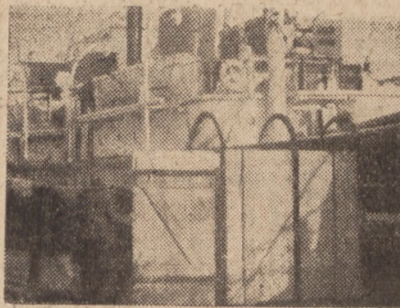
15.5.1943. „SS panoszy się nadal w sposób niemożliwy do opisania i zawstydzający nas na obszarze Polski. Niezliczonych Żydów gazuje się w specjalnie wybudowanych komorach; co najmniej 100.000. Ale również polska inteligencja jest systematycznie dziesiątkowana. W międzyczasie nieszczęśliwa reszta Żydów warszawskich stanęła we własnej obronie. Doszło do ciężkich walk, które napewno doprowadzą do całkowitego wymordowania ich przez SS-ów".

Nie liczyłem, ile razy Hassel wspomina wyraz „obóz koncentracyjny", pominąłem sprawę zabijania umysłowo chorych, stosunki na terenie innych krajów okupowanych. Wybrałem tylko najważniejsze ustępy, mówiące o Polsce i Polakach. Dla mnie pamiętnik Hassla jest nie tylko dowodem, że Niemcy naprawdę wiedzieli, przynajmniej w ogólnych zarysach, co ich reprezentanci wyrabiali na naszych ziemiach. Jest dokumentem ustalającym ponad wszelką wątpliwość, że kto naprawdę interesował się rzeczywistością hitlerowską, ten dowiadywał się nawet o najtajniejszych sekretach Gestapo, takich jak komory gazowe, obozy zniszczenia i masowe areszty.

Jeśli Niemcy w swej wielkiej masie twierdzą nadal, że nic nie wiedzieli, to trzeba im twardo odrzec: Gdybyście na chwilę bodaj zapragnęli tego, to byście wiedzieli!

Władysław Pawlak

DUŃSKIE KONIE DLA POLSKICH ROLNIKÓW


Konie wyładowywane są z okrętu przy pomocy dźwigów.


Natychmiast po wyładowaniu są badane przez komisję lekarską.


Konie zdrowe poddawane są specjalnym pomiarom i rozdzielane podług typów.


Rolnicy witają konie duńskie z zadowoleniem.


Koń duński oddany do użytku gospodarstwa chłopskiego pod Ożarowem.

Z Danii nadeszły pierwsze transporty koni, zakupionych tam i przeznaczonych dla polskiego rolnictwa.

Z tej liczby trzy tysiące koni rezerwuje Ministerstwo Rolnictwa dla majątków państwowych i ośrodków hodowlanych. Pozostałe, tj. około 42 tysiące są przekazywane Związkowi Samopomocy Chłopskiej dla rozdziału pomiędzy drobnych rolników. Technikę wyładowania koni z okrętu badań weterynaryjnych, przetransportowania do miejsca przeznaczenia organizuje Wydział Przemysłowo - Rolny „Społem".

W tym celu „Społem" zorganizowało w portach wyładunkowych specjalne stajnie, zaopatrzone w paszę oraz fachową obsługę i przygotowało również wagony do transportowania, wyposażone we wszelkie potrzebne urządzenia.

Konie wyładowywane są z okrętu przy pomocy dźwigów. Natychmiast po wyładowaniu poddawane są badaniom komisji lekarskiej. Tylko konie zdrowe są przyjmowane. Konie chore kieruje się do lecznicy w Oksywiu, przystosowanej na pomieszczenie stu koni, do dyspozycji kontrahenta duńskiego. Transport koni odbywa się tedy na ryzyko Danii. Wskutek panujących obecnie mrozów 12% koni choruje na bronchit i zapalenie płuc.

Konie zdrowe poddawane są specjalnym pomiarom i rozdzielane podług typów. Z Danii przyjeżdżają bowiem zarówno konie ciężkie, jak i lżejsze typu polskiego. Te ostatnie zostały uprowadzone do Danii przez cofającą się armię niemiecką. Przy rozprowadzaniu koni bierze się pod uwagę gusty i przyzwyczajenia rolników w różnych regionach. Tak np. Łowickie przywykło do koni raczej typu cięższego. Ziemie Zachodnie posługują się koniem zimnokrwistym. Miechowskie natomiast gustuje w koniach lekkich, ciepłokrwistych. Przyzwyczajenia te zresztą związane są z właściwościami gleby i warunkami uprawy.

Dotychczas rozprowadzano konie głównie na dawne ziemie Rzeczypospolitej. Ziemie Odzyskane otrzymają około 25 tysięcy koni przez port w Szczecinie, gdzie poczyniono przygotowania do wyładunku i zgromadzono zapasy paszy.

Kilkanaście tysięcy koni dotarło już do rąk rolników, którzy powitali je z zadowoleniem i włączyli do inwentarza swoich gospodarstw.

MARIAN WERALSKI

2)

PRZEMYSŁ DLA WSI

DOŚWIADCZENIA UBIEGŁEGO PÓŁROCZA.

W poprzednim numerze „Tygodnia" stwierdziliśmy, że akcja „Przemysł dla wsi" stanowiła ciekawą próbę powiązania wolnego rynku artykułów rolniczych z zorganizowanym rynkiem przemysłu państwowego. Z jednej strony stała niewiadoma co do wielkości (możliwa do obliczenia tylko szacunkowo — w przybliżeniu) produkcja chłopska, z drugiej strony planowa i z góry z dużą dokładnością ustalona produkcja przemysłowa. Z jednej strony istniała podaż płodów rolnych nierównomierna w czasie, zależna od całego szeregu momentów, jak stan gospodarczy tysięcy gospodarstw chłopskich, jak nastawienie psychiczne tysięcy chłopów itd., podlegająca często czynnikom zupełnie przypadkowym — jak np. spekulacja, z drugiej strony — podaż artykułów przemysłowych, rozplanowana w czasie niemal co do minuty. Akcja „Przemysł dla wsi" miała być pomostem między tymi dwoma rynkami, miała stworzyć takie warunki gospodarcze, aby spowodować tysiące rolników do równomiernego oferowania swych artykułów, zapewniającego równomierne wyżywienie ludności miejskiej.

Zadanie, jakie miała do spełnienia akcja „Przemysł dla wsi", było niewątpliwie bardzo trudne. Jej powodzenie zależne było od szeregu momentów. Spróbujmy ustalić najważniejsze z nich.

Przede wszystkim towary przemysłowe musiały dotrzeć na wieś, do chłopa, musiały przejść przez taki aparat handlowy, który by te towary rzeczywiście dostarczył na rynek wiejski. Pożądane byłoby, aby był to aparat jednolity, który by mógł być kierowany z góry i przez który można by regulować bieżącą całą akcją, wyciągnąć natychmiast wnioski ze wszystkich błędów, jakie by się w czasie trwania akcji ujawniły. Nie mógł to być aparat państwowy, gdyż nie docierał on na wieś. Na wsi mamy rozgałęzioną sieć sklepów spółdzielczych i sklepów prywatnych i niewątpliwie aparat spółdzielczy zapewniał w tym wypadku większe widoki powodzenia całej akcji, ponieważ z jednej strony podlegał dyspozycjom i instrukcjom centralnych organizacji spółdzielczych, z drugiej strony podlegając stałej kontroli społecznej bezpośrednio zainteresowanych jeśli nie wykluczał całkowicie, to przynajmniej bardzo utrudniał wszelkie nadużycia i spekulację.

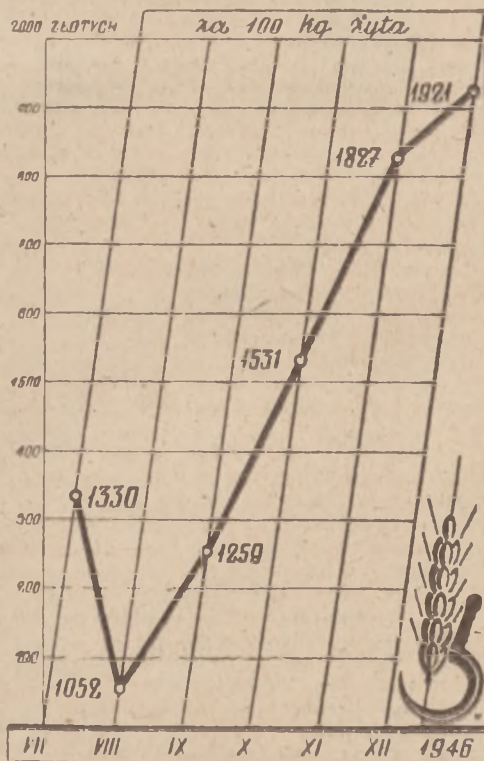
Drugim niezmiernie ważnym czynnikiem było zagadnienie szybkości dostaw towarów przemysłowych na wieś i płodów rolnych do miasta oraz zagadnienie kalkulacji. Należało stworzyć między wytwórcą a konsumentem możliwie niewielką ilość ogniw pośrednictwa, aby koszt dotarcia artykułów do celu ich przeznaczenia był jak najmniejszy. Aparat spółdzielczy zapewniał akcji tej pod tym względem warunki optymalne, rozprowadzając towary przemysłowe otrzymane z fabryk za pośrednictwem jednej tylko hurtowni „Społem" do sklepu detalicznego spółdzielni, a stąd bezpośrednio do konsumenta.

Trzecim zagadnieniem było dostosowanie podaży artykułów przemysłowych do potrzeb wsi. Należało dostarczyć chłopu te przedmioty i takie rodzaje i gatunki, które były chłopu potrzebne. Wysyłanie np. na wieś kieliszków do wina minęło by się z celem. Wśród szeregu artykułów włókienniczych należało wybrać te, którymi wieś jest zainteresowana. Szereg artykułów ma charakter wybitnie sezonowy i dostarczenie go chłopu musiało być dokonane w odpowiednim terminie. Dostawa nawozów lub cementu po sezonie byłaby bezprzedmiotowa. Z doświadczenia ubiegłego okresu należy stwierdzić, że było szereg niedociągnięć w tym przedmiocie, ale zasadniczo zarówno asortyment dostarczonych artykułów jak i terminowość dostaw były na poziomie. W porównaniu z poprzednimi „akcjami premiowymi" został uczyniony olbrzymi krok naprzód.

Wprawdzie wieś nabyłaby szereg innych jeszcze artykułów, wprawdzie szereg artykułów dostarczono w zbyt małej, dla potrzeb wsi ilości, ale wynikało to z możliwości produkcyjnych naszego przemysłu. Wszyscy wiemy np. że produkcja skóry jest bardzo skromna w porównaniu z naszymi potrzebami i nie prędko jeszcze osiągnie zadowalający poziom. Nie ulega wątpliwości, że czas będzie tu kwestię rozwiązywał ku zadowoleniu rolnika i że ubiegłe półrocze należy uważać raczej za udane pod tym względem.

Wreszcie ostatnie zagadnienie — to kwestia cen. Dyskutuje się często, czy istnieją obecnie t. zw. „nożyce cen" między artykułami rolniczymi i artykułami przemysłowymi. Pamiętamy, że okres kryzysu przed wojną stworzył dla rolnictwa niekorzystną sytuację, dotykając silniej rolnictwo niż przemysł, że ceny płodów rolnych spadły silniej niż ceny wyrobów przemysłowych. Czy obecnie istnieją „nożyce cen" w porównaniu z okresem przedwojennym? Na to pytanie trudno jest dać odpowiedź, gdyż jest szereg artykułów rolniczych, które znacznie zwyżkowały w stosunku

Wykres I. Wahania cen żyta w II półroczu 1946 r.



do okresu przedwojennego i szereg artykułów, gdzie zwyżka jest nieznaczna. Podobnie ma się sprawa z artykułami przemysłowymi. Te wyroby, których podaż jest niska (np. skóra) zwyżkowały więcej niż te, których podaż jest wystarczająca i często przewyższająca podaż przedwojenną. Które artykuły i w jakiej relacji przyjąć przy porównaniu cen? To jest bardzo trudne zagadnienie.

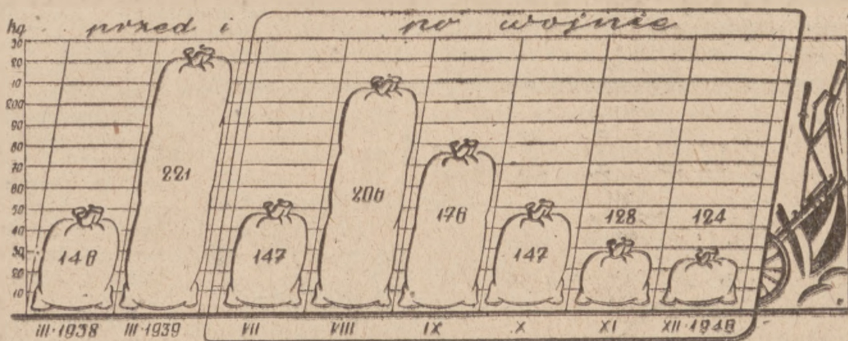
Poniżej podajemy wg „Wiadomości Statystycznych" na wykresach nr 2 i 3 porównanie ceny pługa w kg zboża i w litrach mleka z lat 1938, 1939 i z ostatnich sześciu miesięcy 1946 r. Z zestawień tych wynikają z jednej strony duże wahania, z drugiej strony korzystna zasadniczo dla chłopa relacja cen w stosunku do okresu przedwojennego. Pług kosztował w 1946 r. rolnika znacznie mniejszą ilość zboża względnie mleka niż przed wojną. Inaczej jednak przedstawiać się będzie sytuacja, gdy obliczymy cenę butów: zamiast 310—314 litrów mleka, przed wojną trzeba było w lipcu 1946 r. dać 507 litrów a w grudniu 847 litrów.

Chłop rozumie, że jedne artykuły może on obecnie nabyć stosunkowo taniej, inne drożej niż przed wojną. Chłop chciałby jednak, aby relacja cen między artykułami rolniczymi i przemysłowymi odpowiadała stosunkowi wielkości produkcji rolnej do przemysłowej. Chłop zdaje sobie sprawę, że produkcja rolna wynosiła w 1946 r. niecałe 40 proc. produkcji przedwojennej, a produkcja przemysłowa jednak przeszło 60 proc. przedwojennej i wyciąga z tego odpowiednie wnioski.

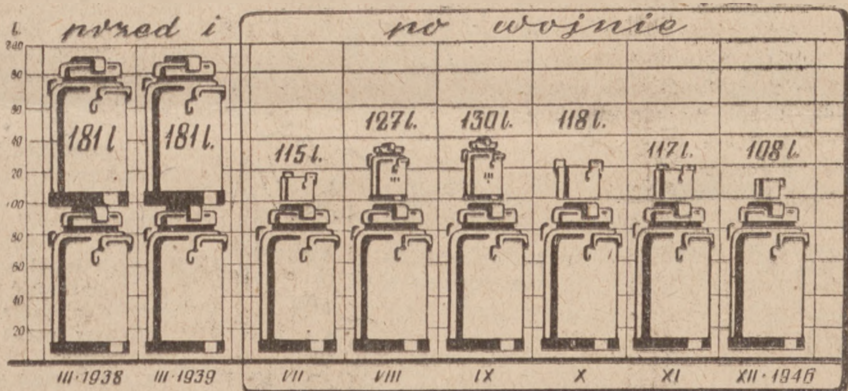
Akcja „Przemysł dla wsi" nie stworzyła nożyc cen. Relacja cen, ogólnie biorąc, była dla chłopa korzystna i stawała się coraz to korzystniejsza w miarę zwyżki cen płodów rolnych na przestrzeni drugiego półrocza 1946 r. Wystarczy spojrzeć na wykres nr 1 obrazujący wahanie cen zboża. Przy zasadniczo stałych cenach akcji „Przemysł dla wsi" zwyżka cen płodów rolnych stwarzała uprzywilejowanie wsi. Nie należy przy tym pominąć faktu, że zwyżkę tę częściowo powodował często zbyt mały strumień towarów przemysłowych (warunkowany, jak podano wyżej naszymi możliwościami produkcyjnymi).

W konkluzji akcję „Przemysł dla wsi" należy uznać za udaną. Braki, jakie były, być musiały — szeregu artykułów było zbyt mało w stosunku do potrzeb wsi, czasami przychodziły zbyt późno, czasami nie docierały na wieś w ogóle, lub docierały drogą boczną poprzez spekulanta. Jednak zasadniczo akcja „Przemysł dla wsi", jako próba powiązania wolnego rynku rolniczego z planem gospodarczym państwa, była udana. Należy się spodziewać, że rok bieżący usunie względnie zmniejszy niedomagania. Dużą rolę odegrać może tutaj aparat spółdzielczy, który, łącząc w ideologii spółdzielczej planowość ze swobodą gospodarczą jednostki, będąc pod stałą kontrolą społeczną, może wziąć na siebie całość wymiany ze wsią wraz z zobowiązaniem jej solidnego i sprawnego wykonania.

Wykres II. Porównanie ceny pługa w kg. żyta



Wykres III. Porównanie ceny pługa w litrach mleka



Kontraktowanie upraw roślin oleistych

Przewidywane w 3-letnim Planie Państwowym zwiększenie arealu upraw roślin oleistych spowodowało specjalną uchwałę Komitetu Ekonomicznego, na mocy której Państwowe Zjednoczenie Przemysłu Olejarskiego zawarło umowę z Wydziałem Przemysłowo - Rolnym „Społem" na zakontraktowanie 10.000 ha upraw pod rośliny oleiste.

W wykonaniu umowy Wydział Przemysłowo - Rolny „Społem" zorganizował akcję kontraktowania w oparciu o spółdzielnie terenowe, zapewniając plantatorom korzystne warunki upraw roślin oleistych.

Już w momencie podpisywania umowy plantator otrzymuje zaliczkę w wysokości 4.000 zł. od 1 ha, następną zaliczkę w wysokości 3.000 zł. od zasianego 1 ha uprawy. Wypłacenie zaliczek za plantację roślin oleistych ma duże znaczenie ze względu na to, że gwarantuje rolnikowi przypływ gotówki w okresie gospodarczo najcięższym.

W umowie plantator zobowiązuje się sprzedać swój plon po cenach wolnorynkowych spółdzielni, prowadzącej kontraktowanie, lecz nie niższych niż 2,5 krotna cena wolnorynkowa pszenicy. Ponadto w umowie przewidziane jest zapewnienie rolnikowi możliwości zakupu w stosunku do 100 kg. dostarczonych nasion roślin oleistych.

a) 3 kg. surowego lub rafinowanego oleju po cenach ustalonych, a mianowicie — 1 kg. oleju surowego równa się cenie 3,5 kg. nasion, a oleju rafinowanego — 4,8 kg.

b) 50 kg. makuchów lub śruty po cenach wolnorynkowych.

Umożliwienie zakupu oleju, makuchu i śruty rolnikom kontraktującym swoje uprawy roślin oleistych, zapewni zaopatrzenie ludności rolniczej w tłuszcze roślinne, a inwentarza w dobre, wartościowe pasze.

Z placówek wytwórczych „Społem".

Zakłady Chemiczne w Warszawie

Już we wrześniu 1945 roku uruchomione zostały **zakłady chemiczne „Społem" w Warszawie przy ul. Kawęczyńskiej nr 9, tel. Praga nr 13.**

Początkowo rozpoczęto produkcję maszyn drukarskich, a następnie uruchomiono działy wytwarzania pasty do obuwia i podłóg oraz działy — farb malarskich i lakierów.

Rok 1945 poświęcony był pracom organizacyjnym i pierwszym próbom produkcji w roku 1946 praca już w pełni wrzała i obroty zakładów zwiększały się z miesiąca na miesiąc. Wymownym tego wyrazem jest fakt, że w styczniu 1946 roku dochody zakładów wynosiły około 1 miliona złotych, a w grudniu tegoż roku osiągnęły już 6 milionów złotych.

Zakłady zatrudniają w chwili obecnej 61 pracowników i mogłyby znacznie poszerzyć swoją działalność, lecz stoi temu na przeszkodzie: szczupłość lokali i brak odpowiednich surowców, a zwłaszcza barwników kolorowych (czerwonych i niebieskich).

BAJECZKI

Jan Huszcza

Wilki, Wałcz, i ...poprawa bytu

czyli trzy po trzy o prasie

Doskonały przedwojenny felietonista warszawski Quas (Stefan Kwaśniewski, (zginął w powstaniu) kiedyś ustalił, iż w lutym i w marcu prasę polską zawsze obiegała wiadomość tej mniej więcej treści: „W Małopolsce Wschodniej wilki zjadły trzech księży obrządku greckokatolickiego“...

Rzeczywiście, trudno było wymienić choć jedną zimę na łamach prasy bez tej mrożącej krew w żyłach notatki. Rzecz jasna, wątpić należy, czy wilki naprawdę żywiły taką regularnie objawiającą się niechęć do przedstawicieli obrządku greckokatolickiego. Raczej prasa chronicznie cierpiała na brak sensacji, wilki więc były zimowym „wężem morskim“.

Obecnie wężem tym wydają się trzy wiadomości od dwóch lat w różnych interpretacjach pojawiające się w gazetach. Co pewien czas czytamy: „Przewiduje się znaczną zniżkę cen na wyroby Polskiego Monopolu Tytoniowego“... „Wkrótce nastąpi wybitna poprawa bytu nauczycielstwa polskiego“... „W Łodzi uruchomiono fabrykę zegarków, której produkcja dotrze do ludności miast i wsi“...

Tymczasem nie ma ani „żadnej zniżki“, ani „wybitnej poprawy bytu“, ani „produkcji łódzkiej fabryki zegarów“. Po prostu dziennikarze piszą, aby czytelnicy mieli co czytać.

* * *

Prasa przypomina morskie przypływy i odpływy. Życie dawno wyłoniło jakąś sprawę, a prasa milczy. Potem, nagle, pewnego dnia wszystkie organy chórem: „Czas z tym skończyć!“, czy coś w tym rodzaju. Po kilkunastu godzinach jednak nikt o tym huczku nie pamięta, rzadko powraca się do raz poruszanej sprawy, rzadko dopomina się prasa o postulowane w danej sprawie zakończenie.

* * *

Dużą rolę odgrywa przypadek. W czerwcu 1945 roku przypadek właśnie zdarzył, iż wycieczka dziennikarska, bodajże w dziesięcioosobowym składzie, znalazła się w miłym miasteczku Pomorza Zachodniego, Wałczu. Przez cały następny miesiąc pisma i radio przynosiły korespondencję, impresje, wrażenia, okolicznościowe, i reportaże z owego Wałcza.

Pomyślałby ktoś, że działy się tam Bóg wie jakie niezwykłe rzeczy. A to czysty przypadek: ot, przedstawiciele całej ówczesnej prasy znaleźli się w tym pięknie nad jeziorem położonym mieście i dyskontowali swój tameczny pobyt.

Znam pewną gazetę, w której dość długo najwięcej miejsca zajmowały doniesienia z Przemyśla. Znowu mógłby ktoś dojść do wniosku, że w tym Przemyślu to dopiero życie „pulsuje, wre i kipi“. W rzeczywistości zaś w Przemyślu było to samo co i gdzie indziej, ale mieszkał tam jakiś facet namiętnie pisujący „do gazet“, które przecież po dziś dzień nie mają zorganizowanej sieci korespondentów terenowych i są skazane na sporadyczny dopływ informacji.

I tak np. o Kudowie chyba więcej wiemy, niż nawet jej mieszkańcy. Wzędzie Kudowa i Kudowa. Próżno jednak chcielibyśmy z prasy czegokolwiek dowiedzieć się o życiu w Białymstoku, w Lublinie, w Rzeszowie, w Zamościu. A już o wieściach z takiego choćby Parczewa ani marzyć!

* * *

Dziennikarze najchętniej ze wszystkich ludzi pióra, posługują się stereotypami. Jeśli czytamy o Łodzi, to wiadomo: „polski Manchester“. Jeśli o Warszawie, to — „krwawiące serce kraju“. Jeśli o morzu, to — „nasze okno na świat“. Jeśli o Krakowie, to — „polskie Ateny“. Spekulanci zawsze są otyli, obleśnie uśmiechnięci, i z upierścionowanymi palcami. Wojsko podczas defilady zawsze maszeruje „dziarskim, sprężystym krokiem“. Banał jest równie zaraźliwy jak grypa.

* * *

Nigdy nie obywa się bez blufu. Początkowałem przed wojną w jednej z gazet prowincjonalnych, która nosiła dumny podtytuł: „ilustrowane pismo codzienne“. Ilustracja kosztuje jednak niezłe grosze, a pismo wegetowało, toteż mieliśmy zaledwie trzy klisze. Pierwsza przedstawiała uśmiechniętego starszego pana w meloniku. Używaliśmy go do wszystkich przyjazdów gości zagranicznych, do wywiadów z aktorami i do notatek o nowych nominacjach w województwie.

Druga przedstawiała fragment jakiegoś portowego miasta z pałacykiem i palmami kokosowymi na pierwszym planie. Służyła ta klisza wszystkim reportażom z Afryki, Ameryki i Australii. Jako fragment Buenos Aires i Algieru, Tunisu i Melbourne.

Trzecia była nieodzowna w tekstach doniesień, z życia krajowego, przedstawiała bowiem uroczystość przecięcia wstęgi na otwarcie jakiejś wystawy drobiu.

Kiedy po dwóch latach część czytelników (zresztą skromna część!) zorientowała się, iż pismo ciągle posługuje się tymi samymi kliszami, administracja zdobyła się na rujnujący wydatek i dokupiła jeszcze dwie. Dzięki temu posunięciu dobra opinia „ilustrowanego pisma codziennego“ została ustalona w sposób niezachwiany.

* * *

Na zakończenie tych luźnych, felietonowych przyczynków do charakterystyki życia prasy — przypowiastka.

Jeden ze starożytnych królów greckich kazał swemu kucharzowi przyrządzić najlepszą ze wszystkich, jakie zna, potrawę.

Kucharz podał ozór w sosie chrzanowym.

Kiedy indziej ten sam król temu samemu kucharzowi kazał przyrządzić najgorszą ze wszystkich, jaką zna, potrawę.

Kucharz i tym razem podał ozór w sosie chrzanowym...

Otóż to! Ozór można oceniać rozmaicie. Zależnie od tego, kto im obraca.

Podobnie rzecz się ma z prasą: zależnie od tego kto ją „robi“, równie dobrze może być najgorszą, jak też i najlepszą potrawą.

Jaś i Zosia

(Rys. Kazimierz Grus).



Jaś namawia wciąż Zosienkę, by oddała mu swą rękę.



Jesteś całkiem w moim guście, nigdy w trąbę cię nie puszczę!



Mówi: uczyń mi nadzieję, bo za tobą ja szaleję.



Bajkę szczęścia ci uprzędę, tak jak perłę strzec cię będę!



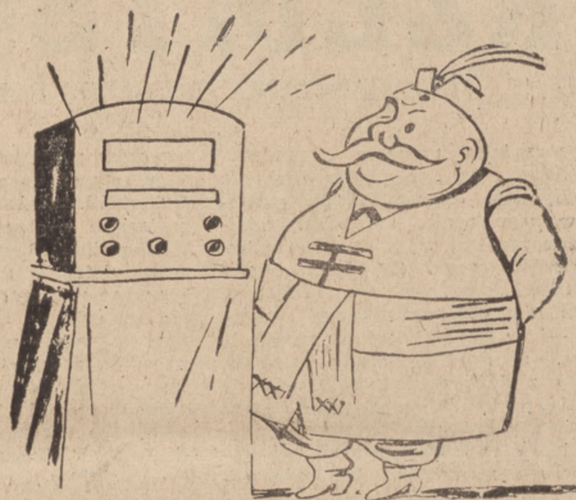
Z serca wyrwać cię nie mogę, bądź mą żoną, dziewczę drogie!



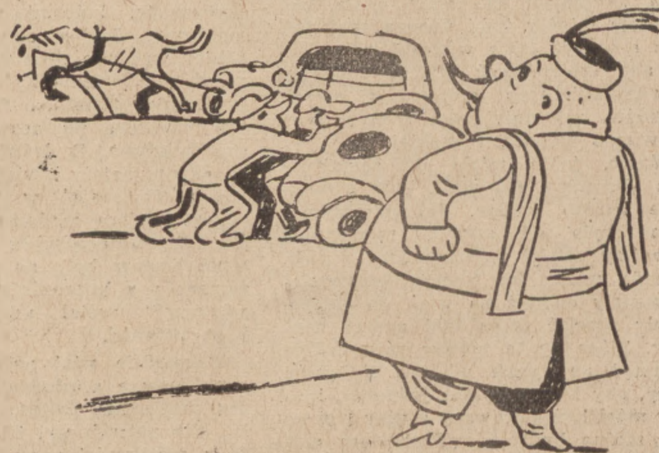
Takie słowa Jaś wygłasza, ale Zosia nie chce Jasia. Nie pomogą tu mozoły, a dlaczego? Bo Jaś goły...

Przygody Zagłoby

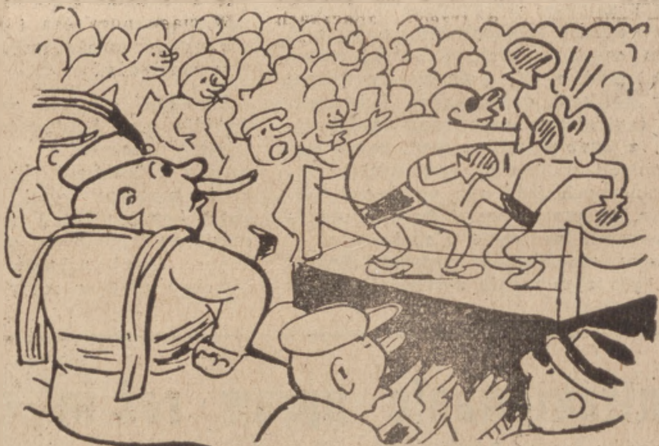
(Rys. Jerzy Zaruba).



Siła przemyślnych wyna[illegible] poznałem [illegible] Exeplum: drewniana skrzynka, którą zwą „radio“. Przyrząd ów służy do powtarzania urzędowych przemówień ku czci, co spełnia cierpliwie przez dzień cały. W krótkich przerwach między mowami, skrzynka gra hałaśliwe kawałki pt. „płyty“.

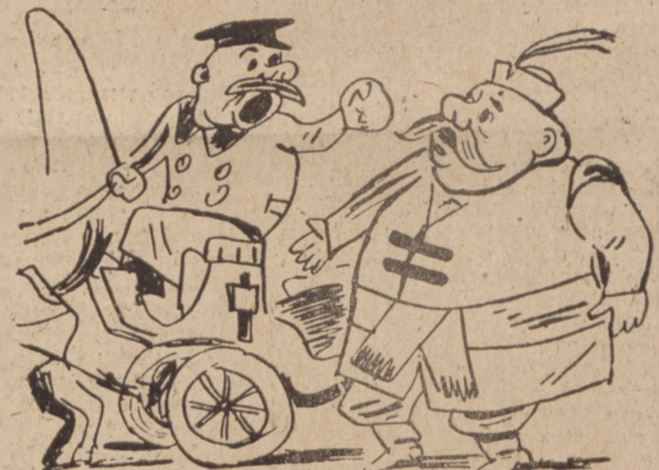


— Do inszych wynalazków należą wozy, które jeżdżą bez koni. Co prawda, czasem konie je ciągną, jednak zazwyczaj robią to ludzie, wydobywając one wozy z błota, lub popychając do naprawy. Zdarza się także, iż wozy te jadą same, ale nie najczęściej, gdyż brak podobno zapasowych części.



— Wczora byłem w wielkiej sali w której wszczęto bijatykę na pięści. Krew lała się z nosów, jednakowoż obecni, ani rozdzielić poważnionych, ani pomóc im nie chcieli, poprzestając jedynie na czynieniu ogromnego harmidru. Po chwili jednego z bijących się wyniesiono na noszach i bijatykę wszczęła inna para.

Pytałem sąsiadów, co to ma znaczyć? Odpowiedziano mi, że to jest sport.



Na przedmieściu, zwanym [illegible] dość lichą kolaskę. Za przewiezienie mnie do Alej, woźnica zażądał czterech złotych polskich, którą to sumę po przybyciu na miejsce, bez targów wręczyłem. Co ujrzawszy, człowiek ów rozpoczął litanię o mnie i o mojej rodzinie, najprzemyślniejszych dobierając wyrazów.

Ze smutkiem stwierdzam, iż sława moja, jako wielkiego gębacza, zbladła całkiem. Nawet Tuhaj-Bej w połowie tak klnąć nie umiał, jak dzisiaj klnie warszawiak!

Jedwabna suknia w kolorze zwiędłej róży, ułożona w fałdy, ładnie harmonizuje z luźnym żakiecikiem w kolorze czerwonego wina. Całość bardzo się przyda podczas chłodniejszych wiosennych dni.

Obok — elegancki kostium, składający się z ciemnego żakietu i dostosowanej do jego koloru spódnicy w dużą, szkocką kratę. Wyłogi przy żakiecie z tego samego materiału, co spódnica. Kapelusz w kolorze żakietu.

TYDZIEŃ MODY



TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

Za dwa tygodnie Wielkanoc. O niektórych sprawach gospodarskich, związanych ze świętami warto pomyśleć już teraz, nie odkładając wszystkiego na ostatnią chwilę.

Nie mamy powodu obawiać się że... nasz stół ugnie się pod nadmiarem różnych smakołyków. Ciężkie warunki materialne i aprowizacyjne każą nam urządzić wielkanocne przyjęcie jak najskromniej.

Proponujemy następujący spis potraw, którymi można zastawić stół.

Przede wszystkim szynka — prawie że nieodzowny wielkanocny przysmak — jest, niestety, bardzo droga. Można ją śmiało zastąpić schabem i kiełbasą.

Schab możemy zamarynować. Ocet należy przygotować z pieprzem, listkiem bobkowym i ostudzić, po czym zalać tym schab, który przed tym nacieramy solą i łyżeczką saletry. Po zalaniu octem, co drugi dzień odwracamy schab na inną stronę — na święta będzie gotów! Podczas pieczenia podlewać wodą, a do sosu można dodać do smaku zlanego octu.

Kiełbasę najlepiej jest kupić surową. Włożyć ją na krótko do wrzątku, żeby się raz zagotowała, wyjąć i natychmiast położyć na gorącą patelnię z tłuszczem, obrumieniając ze wszystkich stron.

Bardzo smaczny jest ozór w galarecie. Ugotować ozór w wodzie z włoszczyzną (z wywaru można zrobić doskonałą zupę kartoflaną lub ogórkową). Gdy ozór będzie miękki, ściągnąć z niego skórę, pokrajać ładnie w plastry i ułożyć na półmisku. Przybrać pokrojoną gotowaną marchewką, groszkiem z puszki „Społem" i zalać wszystko uprzednio przygotowaną galaretką. Na galaretkę bierzemy trochę rosołu, w którym gotował się ozór, rozpuszczamy w ciepłym rosole 2—3 listki żelatyny i zalewamy ozór. W ciągu nocy galaretka powinna zastygnąć. Do ozoru można podawać sos chrzanowy. Przygotowuje się go w następujący sposób: utrzeć 2 korzenie chrzanu, sparzyć, dodać trochę octu i cukru. Można także zaprawić utarty chrzan śmietaną, łyżeczką masła, żółtkiem i mieszać na ogniu, tak jednak, żeby się nie zagotował gdyż śmietana się zwarzy.

Temu kto lubi cielęcinę, radzę przygotować roladę z cielęciny z kiełbasą. Kilo cielęciny (może być i więcej) najlepiej z łopatki, odciąć od kości i lekko ubijać. Na środek mięsa kładzie się obciągniętą ze skóry kiełbasę serdelową, lekko soli, zawija się mięso i obwiązuje nitką. Zwinięte mięso parzy się wrzątkiem, obsusza się ściereczką i obsmaża na maśle ze wszystkich stron, po czym wstawia się do gorącego pieca i piecze, polewając często. Upieczoną roladę studzi się i kraje w plastry. Do rolady można podawać sos majonezowy lub tatarski.

Pasztet z cielęcej wątroby doskonale smakuje na zimno. 50 dkg wątróbki uduszonej uprzednio na maśle z włoszczyzną, miele się 2 razy z dwiema rozmoczonymi w mleku bułkami, dodaje się 2 łyżki masła, soli, pieprzu, 2 żółtka i ubitą pianę z 2 białek. Dokładnie miesza się masę, wykłada do wysmarowanego masłem rondla i piecze się w piecu pół godziny lub gotuje godzinę na parze. Wyjmować z formy należy po dokładnym wystudzeniu.

„Pisanki" lub jak je nazywają także „kraszanki" — farbowane jaja — zawsze wyglądają dekoracyjnie na wielkanocnym stole. Smakują doskonale z sosem majonezowym, który robimy w następujący sposób: 1 żółtko surowe ukręcamy z łyżeczką musztardy, solą i szczyptą cukru. Gdy zacznie gęstnieć, dodajemy po kropelce 10 dkg. oliwy lub soi i w końcu dolewamy do smaku octu.

W następnym numerach „Tygodnia" podamy przepisy na ciasto, mazurki i sałatki.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



ZSRR — W numerze 6 (30) podawaliśmy wiadomość o trzech znaczkach, wydanych z okazji dwudziestopięciolecia znaczka radzieckiego. Dziś reprodukujemy najniższą wartość z tej serii (15 kop.) w kolorze sepia i czerwonym (mapa).

Dla propagandy rolnictwa i przemysłu ukazała się specjalna seria, składająca się z pięciu wartości: 5 kop. (oliwkowy) — 127 milionów ton ziarna rocznie, 10 kop. (ciemnozielony) — 60 milionów ton nafty, 15 kop. (brunatny) — 500 milionów ton węgla, 20 kop. (czarnoniebieski) — 60 milionów ton stali i 30 kop. (brunatny) — 30 milionów ton żelaza.

DANIA — Na pamiątkę czterechsetlecia urodzin znanego astronoma Tycho Brahe, wydano 14 grudnia ub. r. specjalny znaczek z podobizną astronoma: 20 ö (czerwonobrunatny).

FINLANDIA — Z okazji czterechsetlecia założenia miasta Ekenäs ukazał się 14 grudnia ub. r. znaczek wartości 8 m w kolorze oliwkowozielonym.

PORTUGALIA — Dla uczczenia trzech setlecia patronki Portugalii — Notre-Dame de la Conception — wypuszczono serię znaczków z portretem Matki Boskiej w czterech wartościach: 30 c (czarny), 50 c (zielony), 1 c (czerwony) i 1,75 c (niebieski). Znaczek 50 c ukazał się w nakładzie 4 milionów, inne — po 2 miliony sztuk.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa, Smolna 12 B-60326



CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagroda 150 zł została podzielona. Po 50 zł otrzymali: Józef Maciejewski (Lublin, Rusałka 15 m. 2) za wycinek z „Gazety Lubelskiej"; Rozalia Kierek (Strzyżów n/W, Rynek 129) za wycinek z „Dziennika Polskiego" i „Oddział „Społem" (Kraśnik Lubelski, Rynek 21) za wycinek z „Kalendarza Spółdzielczego" na rok 1947.

GEOGRAFIA

Obsunięcie się ziemi, które zaznaczyło się w poniedziałek w północnych Włoszech w miejscowości Reggio w pobliżu Etny, pozbawiło 130 osób dachu nad głową („Gazeta Lubelska" Nr 63/731).

Prawdę mówiąc, Reggio leży na samym brzeżku południowych Włoch, w w Kalabrii, w samym nosie tzw. buta włoskiego; Etna zaś — na Sycylii, to znaczy na wyspie, kawał drogi od Reggio, oddzielona wraz z całą Sycylią od Włoch cieśniną, która się nazywa Messyńską. Ale, jeśli spojrzeć na świat z okienka „Gazety Lubelskiej", wszystko się wydaje malutkie i bliskie sobie, zupełnie tak samo, jak gdy się patrzy na ziemię z samolotu. Wówczas może wyglądać, że Reggio leży przy samej Etnie — co więcej: nie tylko to Reggio, ale jeszcze drugie, znajdujące się w północnych Włoszech niedaleko Parmy, może się zlać wraz z Etną w jeden komunikat, przeznaczony dla czytelników, o których się myśli: „wsjo rawno, nicziewo nie pajmut", jak to powiada znane przysłowie rosyjskie.

*

W Rzeszowie utworzony został wojewódzki Komitet przeciwpowodziowy... który zabezpieczył ważniejsze mosty, chroniąc je przed naporem lodów. Ostatnio najwyższy poziom wody na Wiśle w Rzeszowie wynosił 2.40 m ponad stan normalny („Dziennik Polski" z dn. 7.3.47).

Na jedno skinienie „Dziennika Polskiego" i Komitetu wojewódzkiego — Wisła zmieniła koryto. Mieszkańcy Rzeszowa proszą o drugie skinienie, na mocy którego (w najbliższym czasie) otwarta zostanie komunikacja wodna: Rzeszów, Warszawa, Gdańsk — wzdłuż królowej naszych rzek — hen, aż po sine fale Bałtyku.

*

Największy krzew winny na świecie znajduje się w miejscowości Carpentaria w stanie Kalifornia. Zasadzony w r. 1842, posiada obecnie korzeń trzymetrowej grubości i rodzi 10 tysięcy kilo winogron („Kalendarz Spółdzielczy" na rok 1947, str. 189).

Miejscowość Carpentaria powinna się właściwie nazywać Carpentras: jest to miasto w południowej Francji, znane z fabrykacji kapeluszy. Carpentaria natomiast jest zatoką w Australii. W zatoce nie można zasadzać krzewów nie tylko winnych, ale żadnych; można je tylko z wody wyławiać. Dopiero gdy się taki krzew wyłowi, można się przekonać, że jest to olbrzymie drzewo, którego korzeń ma... Ale czy grubość mierzy się na metry? Może to średnica? Ale, żeby zmierzyć korzeń, trzeba go wyjąć. Wtenczas krzew uschnie. A skoro uschnie, to nie może rodzić dziesięciu tysięcy... A jeśli rzeczywiście rodzi dziesięć tysięcy? I może co roku? Trzeba, żeby spółdzielczość sprowadzała je do kraju, zanim przywłaszczy je inicjatywa prywatna jej nie ubiegnie. Zresztą, wszystko się w głowie miesza.

TRZECI KONKURS „TYGODNIA" NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

Jako nagrody Redakcja przeznacza: 30 nagród książkowych,
20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania, przyznane będą 3 punkty. Suma najwiecej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Red. „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

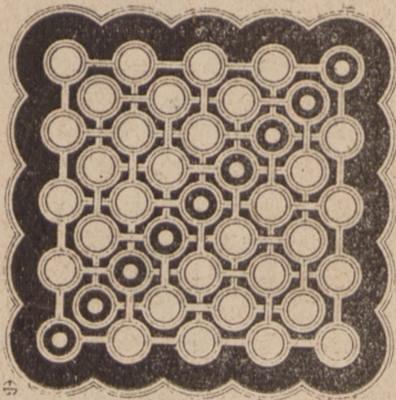
BIKWADRAT MAGICZNY

W powyższy rysunek wpisać 2 kwadraty magiczne w ten sposób, aby głoski, czytane wzdłuż zaznaczonej przekątnej, dały nam aktualne rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów większego kwadratu: 1) Produkt suchej dystylacji ciał organicznych. 2) Podnieta, pobudka. 3) Rzeka w Czechosłowacji. 4) Owad z rzędu muchówek. 5) Napój wyskokowy z kumysu.

Znaczenie wyrazów mniejszego kwadratu: 1) Oddział wojska. 2) Dopływ Dźwiny. 3) Temat publicznej dyspęty. 4) Starożytna nazwa Syrii.

Erazm Grójnacki





ut. R. Miałkowski

KARIERA WITOLDA MAŁCUŻYŃSKIEGO

I W POLSCE PRAGNIEMY USŁYSZEĆ NASZEGO WIELKIEGO PIANISTĘ

Witold Małcużyński!

Prześladowało mnie to nazwisko podczas mojej tegorocznej wędrówki po Europie. Gdy przyjechałem do Paryża, powitały mnie olbrzymie afisze, anonsujące jego koncert. Gdy znalazłem się w Rzymie — to samo. A już co działo się w Londynie, trudno sobie wyobrazić. Plakaty, ulotki, wzmianki w gazetach, no i wkońcu zawiadomienie na 10 dni przed koncertem, że bilety już wyprzedane.

Dowiedziałem się zresztą, że z równym powodzeniem mógłem pojechać do Sztokholmu, do Oslo, do Kopenhagi czy do Brukseli, a i tak nie uciekłbym od tego nazwiska, na którym cudzoziemcy łamią sobie języki, a które przecież tak dobrze zapamiętują.

Opowiedziano mi bowiem w Paryżu, że w tym sezonie koncertowym Małcużyński ustanowił niezwykły i niespotykany rekord. Podczas niepełnych trzech miesięcy swego tournée europejskiego dał 38 publicznych koncertów w ośmiu krajach europejskich. A poza tym płyty dla „His Masters Voice" i „Columbii", poza tym koncerty radiowe, poza tym telewizja dla BBC i słynna już dzisiaj audycja na pamiątkowym fortepianie Chopina w Londynie po której Małcużyński złożył swój podpis tuż obok złotej, pamiątkowej plakiety, głoszącej, że na tym instrumencie, zbudowanym specjalnie dla Chopina, grał nasz genialny kompozytor na rok przed śmiercią, w roku 1848.

Takie tournée koncertowe jest istotnie niezwykłe i budzi od razu refleksje: „Ależ amerykańskie tempo!" Refleksja o tyle słuszna, że Małcużyński istotnie mógł nabrać owego szaleńczego tempa w Ameryce, gdzie spędził lata wojny i gdzie właściwie rozpoczął swoją zdumiewającą karierę.

Niejeden z Polaków skłonny byłby zakwestionować słowa: „rozpoczął karierę". U nas bowiem w kraju Małcużyński był już znany przed wojną; wystarczy przypomnieć jego olbrzymi sukces na III-cim Konkursie Chopinowskim w r. 1937. Z chwilą wybuchu wojny miał już za sobą szereg koncertów zagranicznych (państwa bałtyckie, Węgry) i ugruntowaną sławę w kraju. Ale wystarczy stwierdzić, że gdy w roku 1940 Małcużyński, uchodząc przed inwazją niemiecką, przekroczył granicę francusko-hiszpańską, był on niemal zupełnie nieznany na światowym rynku muzycznym i miał na swym koncie jeden, jedyny poważny koncert w zachodniej Europie (a mianowicie w Paryżu).

W parę miesięcy później Małcużyński ląduje w Rio de Janeiro z żoną. W ręku ma małą walizeczkę, w której leży jego jedyne bogactwo doczesne: koncertowy frak, uszyty u cenionego mistrza krawieckiego na ul. Żurawiej w Warszawie. Państwo Małcużyńscy mają poza tym jeszcze całe 20 dolarów.

Taki to był międzynarodowy start naszego pianisty.

Ale zapomnieliśmy o jednym drobiazgu. Małcużyński miał wielki, olbrzymi talent. Miał jeszcze także żelazną wytrwałość i upór.

Amerykę południową podbija w przeciągu paru tygodni. Jego koncerty w Rio de Janeiro i Buenos Aires stają się sensacją dnia, pisma zapełnione są entuzjastycznymi recenzjami, wywiadami, fotografiami. Na trzecim koncercie w Buenos Aires kordon policyjny toruje mu drogę wśród gorąco-krwistych melomanów. Następuje szereg występów w krajach i miastach o egzotycznych nazwach i egzotycznych słuchaczach.

Ale najcięższy etap jest jeszcze do przebycia: Stany Zjednoczone. Kraj, który nie raz nie zechciał uznać europejskich znakomitości, kraj, w którym wielki pianista Rubinstein musiał koncertować blisko 20 lat, by zdobyć wreszcie uznanie, które zresztą później ugruntowywało się coraz silniej. Kraj, w którym dziesiątki dobrych pianistów czekają latami na uzyskanie poważnego i cenionego w świecie muzycznym engagement. Kraj, w którym zły menager lub złośliwy konkurent może „położyć" największego artystę.

Te wszystkie trudności zachęcają tylko i dopingują Małcużyńskiego. Jedzie do Stanów. Reprezentacyjny występ w Nowym Jorku w Carnegie Hall, najbardziej ekskluzywnej sali koncertowej na świecie, jest triumfem.

I tu zaczyna się najbardziej może niebezpieczny okres dla jego kariery. Towarzystwo koncertowe, które go zaangażowało, wysyła go na drobne prowincjonalne koncerty, do miast bez znaczenia, nie chce lansować Małcużyńskiego na wielką skalę, a stara się jak najkorzystniej wyeksploatować finansowo młodego i taniego artystę. Małcużyński usiłuje walczyć — nic nie pomaga. Przyjaciele przestrzegają go:

— Nie zadzieraj z nimi. Oni tu decydują, kto jest wielki, a kto mały. Ta organizacja jest potęgą. Niejeden już skończył się, próbując walki.

Wbrew namowom, wbrew rozsądkowi, wbrew możliwościom Małcużyński popełnia owo „szaleństwo". Zrywa ze swym towarzystwem i następne tournée w Stanach organizuje z małym naówczas impresariem muzycznym, byłym sekretarzem prywatnym genialnego śpiewaka rosyjskiego, Szaliapina.

Niechże Wam teraz wystarczy, że prasa amerykańska po dwóch latach mówi o sukcesach bez precedensu, o „najbardziej błyskotliwej karierze" na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, mówi o tym, że Małcużyński wskrzesza swą grą tradycje największych pianistów świata: Paderewskiego, Rachmaninowa, Hoffmana.

Jego „mały" impresario, a dziś i przyjaciel, ma teraz wielką agencję koncertową.

Dochodziły do Polski ostatnie wiadomości o jego sukcesach w zachodniej Europie, prasa pisała nam, że podbił Londyn i Paryż.

Dziś już Małcużyński gra w Ameryce. Podczas pierwszych trzech tygodni daje 17 koncertów. Później Ameryka Południowa, jeszcze raz Stany. Potem Kanada.

Jest „sprzedany" do kwietnia 1948 roku. Impresario europejscy układają już jego kalendarzyk na wiosnę i jesień.

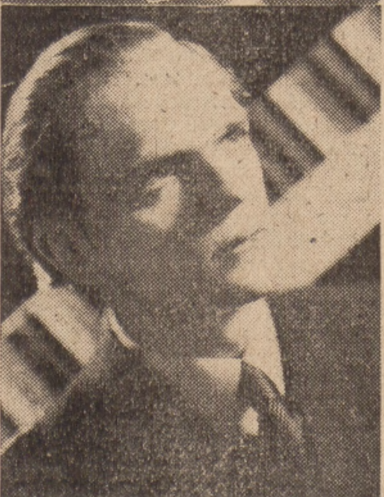
Polska ma nowego wielkiego pianistę.

ANDRZEJ MILEWSKI



Amerykański prospekt reklamy — rysunek syna Teodora Szaliapina









Witold Małcużyński ze swym bratem Karolem, znanym publicystą we Florencji



Witold Małcużyński z żoną w Meksyku w 1916 roku.